Egzemplarz obowiązkowy
BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

LUBLIN 7 X 1973 Nr 20 (532) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY CENA 3 ZŁ

„ZŁOTA KIELNIA" I SKRZYPCE

Maciej Podgórski

Ktoś chciał mnie wódką częstować, do stołu prosić, bo akurat trafiłem na imieniny małżonki. Ktoś inny koniak wyciągnął i herbatą napoił. A jedna pani zamierzała omlet mi na kolację przyrządzić, z sześciu jaj. Okazuje się, że zwykli ludzie lubelscy mają bezinteresowną sympatię dla dziennikarza, serdeczność słowiańską. Bo wdarłem się w ich prywatność mieszkaniową, i to wieczorową porą, nie za sprawą jakiejś skargi czy interwencji, żeby coś im załatwić lub w czymś pomóc, lecz żeby jedynie spytać, jak się mieszka w nowym bloku i co oni o swoim mieszkaniu sądzą. „Tylko lepiej niech pan nie umieszcza naszego nazwiska, żeby stąd jakieś nieszczęście nie wyniknęło" — to było jedyne zastrzeżenie. Więc notuję, com usłyszał i następnie zobaczył.

— Dostało się klucze od nowego mieszkania, to byliśmy szczęśliwi po ośmiu latach wyczekiwania w baraku za cukrownią. Dopiero potem, gdy człowiek przywyknie i lepiej się rozejrzy, przychodzi ochota ponarzekać trochę, może czasem przesadnie.

— Przede wszystkim na co?

— Lastrico w łazience trzeba przykrywać gumoleum, bo spękane i nierówne, poplamione też jakąś smołą, że jej w ogóle doczyścić nie można. Na klatce schodowej to samo. Klepka w podłogach dobra, bukowa, ale kolorem nie wszędzie równo dobrana, a też szpar w podłodze dużo. Tynki nierówno położone, chropowate, przed malowaniem emulsją trzeba się będzie naszpachlować solidnie. Szafa z płyt paździerzowych, wkręty się nie trzymają zupełnie. Sąsiedzi skarżą się też, że mają szafy poobijane.

Dokończenie na str. 4—5

W 30-LECIE LUDOWEGO WOJSKA POLSKIEGO

Bardzo osobiście...

Alojzy Sroga

Zazwyczaj raz w roku, około października, przypomina się obszerniej lub lakonicznie historię Ludowego Wojska Polskiego. Padają nazwy — symbole. Lenino i Berlin. Kołobrzeg i Wał Pomorski. Nysa i Budziszyn.

Dla młodego pokolenia są to w gruncie rzeczy pojęcia już tylko historyczne. Dla uczestników tamtych wydarzeń — cząstką ich życia, niekiedy bardzo ważną.

I stąd już krok do różnych refleksji, które snuje się wśród dawnego żołnierskiego grona nie tylko z okazji rocznic. Może warto choćby niektóre myśli wydobyć na publiczne forum właśnie przy świątecznej okazji?

MITY I ICH WARTOŚĆ

Napisałem ogromną objętościowo książkę, monografię literacką, reportaż historyczny, jak kto woli — „Początek drogi — Lenino".

Starając się zachować w miarę możności fabułę i dramatyzm konieczny w literaturze pięknej, byłem jednocześnie ustawicznie dyscyplinowany przez tworzywo. Przez — autentyk.

Każde bowiem użyte w książce nazwisko — wymieniłem około 1 300 — jest autentyczne, podobnie jak opisywane wydarzenie. Jeśli z nazwiskiem jakoś się człowiek uporał, bo na ogół przechowały się dokumenty, gorzej bywało z wydarzeniami. Oto były żołnierz jest człowiekiem wielkiej skromności. Świetnie pracuje — w polu czy w fabryce — kiedyś doskonale walczył, ale gawędziarz z niego żaden. Wyduś z niego choćby podstawową konstrukcję faktu, anegdoty! Za to inny, bajarz, każdą najbłahszą sytuację umie przedstawić tak, że aż gębę się rozdziawia. I teraz bądź mądry piszący człecze: co jest prawdą, a co fikcją? Co ważne, a co miałkie?

Dokończenie na str. 8—9

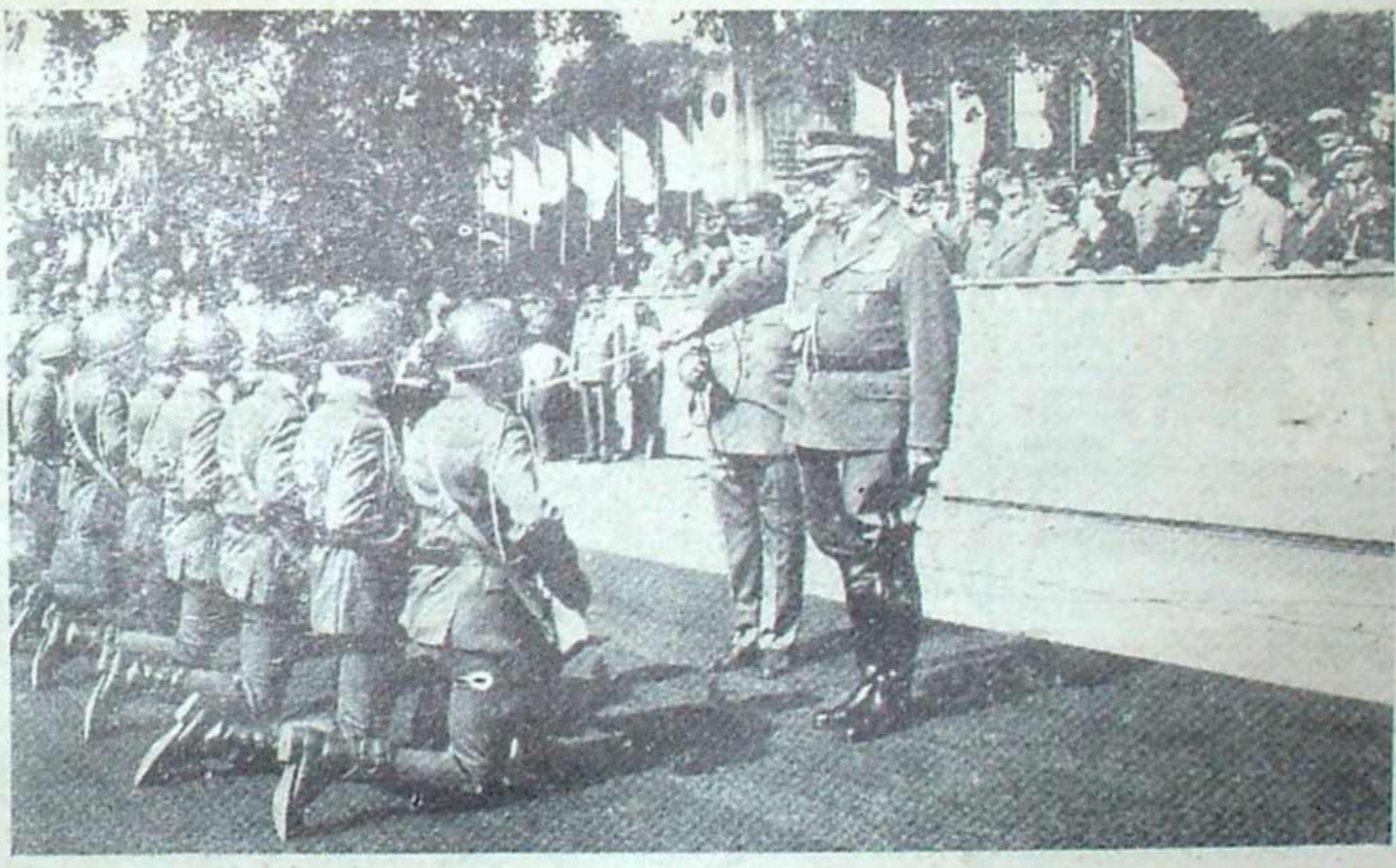

Lublin 1973 Fot. CAF

Co mówią o „Hubalu"?

— Jaka jest pańska opinia o filmie „Hubal" w reżyserii Bohdana Poręby? — z takim pytaniem zwróciliśmy się do kilku osób, reprezentujących różne środowiska społeczne i zawody. Przede wszystkim interesowało nas, w jakich kategoriach publiczność formułuje swoje sądy o dziele Poręby.

Jan Jawor, dyrektor I Oddziału NBP: — Uważam, że jest to jeden z najlepszych filmów o klęsce wrześniowej, jakie się kiedykolwiek ukazały na naszych ekranach. Podczas wojny i okupacji byłem człowiekiem młodym, ale przecież sporo z wydarzeń i atmosfery tamtych czasów pozostało w mojej pamięci. Mam więc prawo powiedzieć, że widziałem film prawdziwy pod względem historycznym. Oglądałem „Hubala" z synem, dla którego film okazał się sugestywnym, jednoznacznym dokumentem. A wie pan, jaka młodzież nieufna, w to i w owo wątpiąca. Czytam właśnie Wańkowicza: książka i film są sobie bardzo bliskie.

Tadeusz Cwenar, ślusarz narzędziowy. — Bohaterski był człowiek z majora Hubala, dobrze postąpił, że nie złożył broni. Jakbyśmy tak rezygnowali z walki w każdej beznadziejnej sytuacji, to chyba Polski by dawno nie było. Mam 27 lat, wojnę znam z nauki historii, ale wydaje mi się, że teraz, po obejrzeniu filmu, lepiej znam i odczuwam wydarzenia tamtego września.

Danuta Cichowska, zast. kierownika kina „Kosmos", w którym film jest wyświetlany: — Byłam raz, na pewno jeszcze obejrzę. Jak usłyszałam melodie „Hubala", płakać mi się chciało. Ten film działa uczuciowo, nie pozwala na obojętność, głęboko angażuje człowieka. Tak, młodzieży też się podoba, mojej córce bardzo się podo-

Dokończenie na str. 13

teatrnn.pl

w którym żyjemy

Słup dymu

PRZED miesiącem przypomnieliśmy, jak „Kamena" ustosunkowała się przed 40 laty — w swym pierwszym numerze — do tego, co działo się na placu Opery w Berlinie 10 maja 1933 roku. Przedrukowując dawny tekst nie przypuszczaliśmy, że już po kilku dniach zaledwie stanie się on znów aktualny pod warunkiem, iż miasto Berlin zastąpimy miastem Santiago, a przymiotnik — niemiecki przymiotnikiem chilijski.

W Santiago, tak jak w Berlinie, faszyści palili książki; dzieła Marksa, Engelsa i Lenina, prace postępowych pisarzy, rewolucyjne słowo rzucano w ogień.

„Płomienie stosu, na który barbarzyńcy cisnęli dzieła największych pisarzy, nie wyrządziły książkom żadnej szkody — powtórzmy za „Kameną" z września 1933 roku. — Ale blask oświetlił wyraźnie prawdziwe oblicze — i tu zamieńmy przymiotnik — chilijskiego faszyzmu".

Umierał największy pisarz Ameryki Łacińskiej, Pablo Neruda, a w tym czasie bandy wyrostków plądrowały jego willę. Naród trudno jednak zastraszyć: w czasie pogrzebu Poety tłum śpiewał nad grobem „Międzynarodówkę".

W 1973 roku na ziemi chilijskiej, podobnie jak w 1933 roku na ziemi niemieckiej, triumfuje faszyzm, który pod każdą szerokością geograficzną jedno ma imię. Jest to jednak pyrrusowe zwycięstwo. Rewolucyjne przemiany można na pewien okres czasu powstrzymać przy pomocy plutonów egzekucyjnych, można rozstrzeliwywać ludzi, ale nie można zabić idei. Starcie między prawicą a lewicą chilijską dopiero się zaczęło. Wie o tym dobrze butna junta wojskowa i krwawym terrorem stara się zastraszyć społeczeństwo. Tysiące osób wtrącono do więzień i obozów koncentracyjnych, zrozpaczone rodziny szukają swych najbliższych w kostnicach, a soldateska przeprowadza masowe rewizje, plądruje, grabi, morduje...

Jedną z pierwszych ofiar kontrrewolucji był prezydent Salvadore Allende, wysunięty na to stanowisko przez Front Jedności Ludowej. 24 października 1970 roku wygrał wybory, a 3 listopada składał uroczystą przysięgę.

Nie szafował obietnicami, zdawał sobie sprawę z trudnej sytuacji kraju. Ponad połowa dzieci była niedożywiona, przeciętny wiek życia wynosił 55 lat, 10 proc. zgonów następowało wskutek marskości wątroby. 350 tysięcy chłopów nie miało skrawka ziemi, a bezrobocie stawało się problemem numer jeden. A jednocześnie naturalne bogactwa chilijskie, przede wszystkim miedź, tuczyły obce koncerny.

Tego nie można było dłużej tolerować. I rząd prezydenta Allende znacjonalizował przemysł miedziowy, upaństwowił wydobycie węgla i saletry, przemysł hutniczy, większość przemysłu tekstylnego i cementowego, dokonał reformy rolnej, przejął banki, rozszerzył zakres świadczeń socjalnych. Ale jednocześnie stanął w obliczu sabotażu gospodarczego ze strony wielkiej burżuacji i obszarników.

Burżuazja nie była bezbronna. Siły wsteczne kontrolowały większość dzienników i innych środków masowego przekazu, miały wpływowych zwolenników w armii, w policji, w sądownictwie.

Wybory parlamentarne przeprowadzone 4 marca 1973 r. wzmocniły siły lewicy. Dla prawicy zabrzmiało to jak dzwonek alarmowy. Zrozumiała, że czas pracuje przeciwko niej, że legalnie nie uda jej się przychwycić władzy. I zaczęła działać. Apogeum nastąpiło 11 września. Przebieg wydarzeń znamy.

„Międzynarodówka" śpiewana nad grobem Pabla Nerudy urasta do wielkiego symbolu. A z bolesnej lekcji chilijskiej wyciągnie wnioski klasa robotnicza. Nie tylko Chile. Nie tylko Ameryki Łacińskiej.

EKSPLOZJA SERDECZNOŚCI

W TEN właśnie sposób (eksplozja serdeczności) określa stosunki między Anglikami a Niemcami zachodnimi „Frankfurter Allgemeine Zeitung". *Mamy obecnie w Republice Federalnej do czynienia* — stwierdza pismo — *z prawdziwym boomem wyjazdów do Anglii. W ślady młodzieży idą starsi. Większość obywateli NRF mówi jako tako po angielsku, wiele czyta o wyspiarzach i odczuwa chęć bezpośredniego poznania W. Brytanii.* Według autora magnesem jest przywiązanie Anglików do tradycji. Społeczeństwo NRF natomiast bardzo niestałe, ulega chwilowym modom i zwyczajom: *jesteśmy na najlepszej drodze, by stać się narodem bez historii i z tym większym entuzjazmem obserwujemy historyczny ceremoniał zmiany warty przy Buckingham-Palace.*

Pismo zwraca uwagę na fakt, że stosunek Anglików do Niemców uległ zmianie. Jeszcze przed niewielu laty w telewizji bądź prasie brytyjskiej rozpowszechniony był negatywny obraz Niemca, odpowiadały temu również reakcje przeciętnego Anglika. Natomiast dzisiaj niewątpliwie atmosfera wzajemnych stosunków ocieplila się. *Podczas, gdy jeszcze przed 12 laty możliwe było, że zasępiony portier z niechęcią dawał Niemcom pokój hotelowy, to dzisiaj spotykamy się z nadzwyczajnie uprzejmą obsługą...*

Z drugiej strony autor artykułu podkreśla, że główne niezadowolenie Anglików skupia się obecnie na Francuzach. Anglicy są dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek wrogo nastawieni do EWG. Dzieje się tak na skutek wysokich cen żywności, które uważane są za konsekwencje agrarnej polityki EWG, orientującej się na potrzeby Francji.

PO NOCY POŚLUBNEJ

W BUŁGARII co roku ok. 65 tysięcy młodych ludzi zawiera związki małżeńskie. Po okresie „miodowym" zaczyna się „dzień jak co dzień". Problem — czy małżonkowie są szczęśliwi? był przedmiotem badań socjologicznych pod kierunkiem dwóch sofijskich profesorów. Ankieta objęła 1200 mieszkańców Sofii, po połowie kobiet i mężczyzn. 65 proc., a więc większość, jest zadowolonych z pożycia małżeńskiego, 26 — częściowo zadowolonych, a całkowicie niezadowolonych — 6 proc. Wiek zadowolonych waha się w granicach 41—50 lat, zaś niezadowolonych 19—30 lat.

Jakie są przyczyny niezadowolenia? Na pierwszym miejscu — kłopoty finansowe i sytuacja materialna (37,7 proc. ankietowanych), na drugim — kłopoty mieszkaniowe (34,3 proc.). Inne przyczyny: nadmiar obowiązków jednego z partnerów (30 proc.), różnice zadań na temat wychowania dzieci (22,7 proc.), duża różnica wieku (1,5 proc.), różnice w poglądach politycznych (1,4 proc.).

CENA POSTĘPU

BARRY Commoner, autor książki „The closing circle", ostrzega przed alarmującym oddziaływaniem na otoczenie współczesnych dóbr i usług, w porównaniu z tradycjami.

I tak np. w latach od 1950 r. do 1967 r. produkcja piwa w USA na głowę ludności wzrosła tylko o 5 proc. Ale w tym samym okresie konsumpcja na jednego mieszkańca jednorazowych opakowań do piwa zwiększyła się aż o 595 proc. Konsument nie staje się przez to zamożniejszy: chce piwa, a nie pojemników.

A odzież? W latach od 1950 do 1968 r. produkcja tekstyliów w USA na głowę ludności wzrosła tylko z 44 do 49 funtów. Ale w 1950 r. tylko 2 proc. tekstyliów było syntetycznych; w 1968 r. już 37 proc. Żeby produkować włókna syntetyczne, potrzeba energii z węgla, ropy naftowej, albo energii atomowej. Wiąże się to ze stosowaniem paliwa nie nadającego się do powtórnego użytku i powoduje zanieczyszczenie środowiska. Energia potrzebna do produkcji bawełny i wełny pochodzi ze słońca i odradza się, nie powodując zanieczyszczeń. Ponadto, kiedy tekstylia bawełniane i wełniane są wyrzucane jako odpadki, podlegają rozkładowi i ponownie włączane są w cykl biologiczny. Z włóknami syntetycznymi sprawa przedstawia się inaczej: pozostają nieskończenie długo odpadkami. Konsument nie staje się przez to zamożniejszy; wełna i bawełna grzeją go równie dobrze, nie odnosi żadnej korzyści z tego, że wyrzucona przez niego koszula nie ulegnie rozkładowi.

W OBRONIE PIESZYCH

WE FRANCJI istnieje specjalne stowarzyszenie „Prawa Pieszych". Przewodniczący tego stowarzyszenia, Roger Lapeyre, wypowiedział się na łamach dziennika „Combat". Stwierdził on m. in.:

Automobiliści korzystają najwyraźniej ze zrozumienia władz publicznych, które gotowe są ukształtować Paryż według wymogów ruchu drogowego, coraz większego i coraz bardziej anarchicznego. Samochody zalewają Paryż — ulice, trotuary, laski. Znajdować się w samochodzie — to znaczy mieć wszelkie prawa, siłę i władzę nad innymi. Zwłaszcza nad tymi, którzy mają tylko własne nogi, by poruszać się z miejsca na miejsce, to jest nad pieszymi.

Właśnie w celu obrony praw przechodniów powstało w 1952 roku stowarzyszenie „Prawa Pieszych".

Nie jesteśmy przeciwnikami samochodów — powiedział dalej R. Lapeire. — *Jednakże koncentracja samochodów w wielkich miastach, gdzie powierzchnia dróg jest mniejsza niż powierzchnia, jaką zajmują samochody, to absurd. Stowarzyszenie wyznaje zasadę, że samochód powinien dostosować się do miasta, a nie odwrotnie. W przeciwnym razie dla motoryzacji trzeba byłoby poświęcić miasta.*

BANKRUCTWO „LWÓW BUDOWLANYCH"

W NRF zbankrutowało kilkunastu wielkich przedsiębiorców budowlanych. Wybudowane przez nich luksusowe apartamenty stoją puste, podczas gdy ludzie „normalnie zarabiający" szukają mieszkań po przystępnych cenach. Pisze o tym „Der Spiegel" podając konkretne fakty. I tak np. w Monachium — według danych z marca br. — z 15 tysięcy nowych mieszkań własnościowych — 8 300 było nie sprzedanych. W samym Hamburgu, gdzie najtrudniej zdobyć mieszkanie, około 2 tysięcy apartamentów, kosztujących horrendalne sumy, świeci pustkami.

Najtrudniej spieniężyć mieszkanie o wielkim metrażu. Mieszkanie wybudowane kosztem 150 tysięcy marek wymaga rocznie ok. 20 tysięcy marek opłat.

Niechęć do kupowania drogich mieszkań uderzyła przede wszystkim w te towarzystwa zleceniodawców budowlanych, których dewizą było budowanie w nadzwyczaj szybkim tempie i kończenie jednej budowy za pieniądze otrzymane już na poczet drugiej. Te właśnie towarzystwa, których prezesi zasłużyli sobie w NRF na miano „budowlanych lwów", muszą teraz za każde nie sprzedane mieszkanie spłacać miesięcznie 700—1000 marek kredytu.

DRUGA TWARZ

PRZYPATRZMY się uważnie tym zdjęciom. Na wszystkich trzech jest ten sam mężczyzna: Francuz Robert C. W lutym 1966 roku uległ on wypadkowi samochodowemu, w którym jego twarz uległa całkowitemu zniekształceniu. Trzeba było przeprowadzić 20 operacji, dokonywać przeszczepów skóry. Ale lekarze, aczkolwiek zrobili bardzo wiele, nie sprawili cudu. Z taką twarzą (drugie zdjęcie) trudno było Robertowi C. pokazać się wśród ludzi, wszyscy odsuwali się od niego jak od trędowatego, miał trudności ze znalezieniem pracy, z wchodzeniem do restauracji. W danym wypadku potrzebna była pomoc charakteryzatora, współpracującego z filmem i teatrem. Znalazł się taki: Lon van Volen z Holandii. Przygotował on w ciągu wielu godzin pracy maskę, jakby drugą twarz. Ta maska z plastyku zupełnie zmieniła twarz Roberta C. (trzecie zdjęcie) i zmieniła jego życie. Nikt teraz nie odwraca się od niego, a kurs maszynopisania, na który wstąpił, pozwoli mu podjąć nową pracę.

Niżej: Lon van Volen w czasie przygotowywania maski dla Roberta C.

To też jest świat, w którym żyjemy...

LOS KULTURY

Ireneusz J. Kamiński

OSTATECZNA wersja „Programu rozwoju kultury województwa lubelskiego" w latach 1973—1990 liczy 168 stron. Opracowana przy udziale kilkudziesięciu działaczy i teoretyków kultury, ludzi sztuki, socjologów — nosi wszelkie znamiona rzetelnej roboty. Podstawową zaletą „Programu" jest uwzględnienie szerokiego kontekstu zjawisk politycznych i społeczno-gospodarczych, które w taki czy inny sposób determinują rozwój kultury regionu. Najważniejsze, że nie mamy do czynienia z ujęciem statycznym, opisowym, opracowanie niejednokrotnie odwołuje się do innych resortów, organizacji społecznych, przemysłu i różnych postaci ruchu społecznego. Tym samym dano do zrozumienia — po raz pierwszy tak jednoznacznie — że odpowiedzialność za losy kultury ponosi także całe społeczeństwo, że bez moralnego i materialnego wsparcia z jego strony nie ma o czym mówić. Oczywiście, są to truizmy — ale tylko w porządku teoretycznym. W rzeczywistości źródeł anemii, nękającej kulturę na Lubelszczyźnie, z reguły dopatrywano się wewnątrz wiadomego resortu, przypisując mu nieudolność, brak inicjatywy, nieracjonalne gospodarzenie środkami i sto innych przewinień. Owszem, takie widzenie problemu nie było pozbawione sensu: lista pretensji do działaczy kultury, pretensji w pełni uzasadnionych, okazałaby się zaskakująco długa, obejmując m. in. takie sprawy, jak poziom intelektualny, rozumienie procesów rządzących kulturą, operatywność. Jak jednak mogło być inaczej, jeśli na kierowników wydziałów, inspektoratów i powiatowych domów kultury desygnowano nierzadko ludzi przypadkowych, którzy nie sprawdzili się w innej dziedzinie? Ale z drugiej strony: jaką działalność mógł rozwinąć ten aparat, w żaden sposób nie mogąc pozyskać do współpracy np. zakładów przemysłowych?! Kultura, jej pomyślny rozwój, jest sprawą całego społeczeństwa i jeśli prawda ta nie znajdzie trwałego miejsca w świadomości ogółu, zatrzymamy się na poziomie wzajemnych oskarżeń, histerycznych pyskówek, nieodpowiedzialnych insynuacji.

„Program", pomyślany także jako tekst informacyjno-propagandowy, nie jest, rzecz jasna, najostrzejszym narzędziem profilowania owej świadomości i choćby przeczytali go wszyscy dyrektorzy przedsiębiorstw i instytucji lubelskich, niewielkie przyniesie to rezultaty. Hierarchię zbiorowych potrzeb i aspiracji oraz treść mitów środowiskowych kształtują bowiem znacznie głębsze procesy społeczno-ekonomiczne, których wektory, szczególnie na Lubelszczyźnie, plączą się w sposób doprawdy niepokojący. Biorąc pod uwagę rozmieszczenie ludności województwa, kilka lat temu postanowiono skierować na wieś cały wysiłek działalności kulturalno-oświatowej. No cóż, decyzja w zasadzie słuszna. Lubelszczyzna to przede wszystkim wieś, rolnictwo — podstawowa w końcu dziedzina naszej gospodarki, a przy tym najbardziej chyba zacofana. Statystyczne efekty inwazji kultury na lessy i czarnoziemy okazały się całkiem zachęcające, konkretyzując się m. in. niemal dziewięciuset klubami „Ruchu" i „Rolnika" oraz setkami amatorskich zespołów artystycznych. Niestety, spora liczba tych placówek przekształciła się na naszych oczach w pijalnie piwa z ograniczoną odpowiedzialnością obyczajową. Pomijając połowiczne rozwiązanie problemu kształcenia kadry klubowej, wyjętej na dodatek spod prawa pracy, w czym „zasługa" instytucji centralnych, równocześnie uruchomiono takie mechanizmy, które szybko i sprawnie wymiatały wieś z ludzi młodych, prężnych, pełnych inicjatywy. Planowanie kultury zderzyło się z planowaniem gospodarczym, bo te dwie sfery tylko w szczegółach były uzgadniane.

Przy okazji, w trakcie wyczerpującego angażowania się w środowiska wiejskie, jakby zapomniano co nieco o interesach środowisk twórczych Lublina. Przekładając owo zapomnienie na język konkretów, można by wskazać na kilka podstawowych faktów materialnych: niemal całkowite wstrzymanie budowy pracowni dla plastyków, wyciszanie sprawy wzniesienia nowego teatru (będzie przecież), zgoda na wegetację filharmonii w sali od biedy balowej, odłożenie do archiwum projektu hali widowiskowej, brak mieszkań dla artystów... Ograniczyło to dopływ nowych ludzi do Lublina, liczba członków wszystkich związków twórczych równa się 227, z czego aż 90 proc. stanowią plastycy i dziennikarze. Jeśli w tej trudnej sytuacji lubelska kultura artystyczna odnotowała na swym koncie przynajmniej kilka wartościowych dokonań, świadczy to tylko o istnieniu w środowisku całkiem pokaźnego potencjału twórczego, który — przy racjonalnej i konsekwentnej animacji — mógłby wyzwolić wszystkie swoje aktywa. Jest to kwestia wielkiej wagi, albowiem w ostatecznym rachunku decyduje o poziomie kultury społeczeństwa, także na wsi. Rola ośrodka dyspozycyjnego polega przecież na tym, że stwarza on autentyczne wartości intelektualne i artystyczne, zdolne do opanowania zbiorowej wyobraźni, wrażliwości, mentalności. Słaby ośrodek — niemal-awo w terenie, a wyjątki potwierdzają regułę. „Program" uwzględnia tę prawidłowość, a jego poszczególne sformułowania obiecują generalną poprawę sytuacji lubelskich środowisk twórczych. Kreśląc konkretne potrzeby, przedstawia zarazem metody i formy ich zaspokojenia.

We wstępie do dokumentu znajduje się taki akapit, wart przytoczenia: „Program kreśli wizję rozwoju kultury, jego ogólne kierunki i ramy modelowe oraz maksymalnie możliwą w aktualnych warunkach konkretyzację programowych przedsięwzięć. Zapóźnienie województwa, konieczność dorównania przeciętnym krajowym wskaźnikom, zmusza do zawyżenia zadań w stosunku do spodziewanych środków. Zakłada się bowiem, że potencjał materialny i organizacyjny kultury musi być wzbogacany regionalną i lokalną inicjatywą, gospodarnością oraz większym zaangażowaniem przemysłu i gospodarki uspołecznionej".

Przeczytawszy można powiedzieć, że dokument odwołuje się do świadomości uformowanej przez socjalistyczny system społeczny, więcej — że liczy na socjalistyczną wrażliwość etyczną. Czy jest to orientacja racjonalna? Kilkakrotnie już zakłady przemysłowe Lubelszczyzny udowodniły, że doceniają znaczenie rozwoju kultury, ostatnio np. FSC i świdnicka WSK zabrały się do wznoszenia zakładowych domów kultury, które służyć będą również mieszkańcom okolicznych dzielnic i miasta. W 1966 roku Zakłady Azotowe w Puławach były gospodarzem I Sympozjum Artystów Plastyków i Naukowców, partycypując w szeregu innych przedsięwzięć. 33 proc. środków na budowę Powiatowego Domu Kultury w Chełmie Lub. wyasygnowała cementownia. Dzięki pomocy zakładów pracy wzniesiono obiekty kulturalne w Milejowie, Dubecznie i Końskowoli... „Nie zaspokaja to jednakże potrzeb, ani wyczerpuje możliwości. Środki finansowe będące w gestii zakładów pracy z przeznaczeniem na działalność kul. przewyższają bowiem częstokroć budżety poszczególnych ogniw resortu kultury. Komisje koordynacyjne w poszczególnych powiatach nie spełniają w całkowitym stopniu swej roli z uwagi na brak przepisów, konkretnie zobowiązujących zakłady pracy do partycypowania w środkach na cele kultury" — informuje dokument Prezydium WRN z 1967 roku. Opinia ta nie straciła na aktualności.

Nie chodzi o środki, pieniędzy nie brak. Nie chodzi nawet o przeforsowanie odpowiednich aktów normatywnych, i bez nich można, gdy dobra wola, znaleźć wyjście z sytuacji. Cho-

Dokończenie na str. 12

Fot. Archiwum

Kazimierz Andrzej Jaworski

GRAMATYKA

Jeszcze mówię o sobie
w pierwszej osobie:
stałem na Rysów szczycie,
kąpałem słoneczny pył,
wstanę o świcie.
Jutro,
kto nie zapomni,
w trzeciej osobie powie o mnie:
żył...

Nałęczów, 11.VI.1971 r.

(Wiersz nie publikowany; z teki pośmiertnej Poety)

Maria Józefacka

* * *

byle zdążyć w tatry zanim
rozpacz w oczach się ukaże
rozpalony serca kamień
pod krzesanic ukryć strażą

byle sprostać w szumnym tańcu
hal koliskom furkocącym

drogocenny górski łańcuch
kruchą szyję udostojni

czekan turni w ogniu zachłyst
gardłem śpiewu strumień rwący
byle tylko w tatry
zdążyć

* * *

ocy moje ocy światami gonicie
ftosi mi się straciel w onej dujawicy

nogi utrudzone
nieobesłe wierchy
jakoz cie zabacyć świecie namilejsy

głowo moja głowo ciężko kieby wanta
kanyz cie poniese poloze cie w tatrach

serce moje płone
by u dziecka serce
listecku bukowy
utopiony w rzece

Lipa w wannie

Tadeusz Graba

Co robią ludzie na wsi? Uprawiają rolę. Co robią we wsi Lipa, na południu powiatu kraśnickiego? Nie uprawiają roli. Dlaczego? Bo im się to nie opłaca. Wszędzie piaski, jak słońce nie wypali, to deszcze wypłuczą zasiewy na długich i wąskich wstęgach poletek, co to zaczynając się za obejściem, nikną gdzieś w okolicznych lasach. Więc wysiewają ludzie t r o c h ę warzyw, trochę żytka, dwóch gospodarzy dogląda tytoniu, wszyscy wieprzki hodują, krowy należą do zwierząt egzotycznych. Tyle zabiegów wokół gospodarki, ile doraźnych potrzeb, aby na przednówku nie znaleźć się w sytuacji bezmięsnej.

Mleko, śmietanę i sery dowozi się do Lipy z Kraśnika, ostatecznie mleko piją tylko niemowlęta i cherlawa młodzież w wieku szkolnym, dorośli piją piwo u pani Jot, która prywatnie bar prowadzi i bierze za butelkę normalnie, po cenach państwowych, trochę więcej za cukierki, ale co to w końcu za dochód z cukierków. Piwo piją też w spółdzielczym barze, kierowanym przez Ożdżynę, która niedawno wydała córkę za mąż, huczne weselisko sprawiając dziecku w drewnianej sali remizy OSP, wynajętej od strażaków, zgodnie z obowiązującą taryfą, za dwieście złotych płatnych od zaraz. Oba bary stoją w odległości 30 metrów od siebie, oba prosperują dobrze, pobliskie opłotki uginają się pod ciężarem opartych o nie rowerów, których właściciele stoją w milczących grupkach, bulgocących z cicha w rwanym rytmie mrukliwej wymiany informacji o świecie.

Wieś Lipa nie ma dobrej ziemi, ma za to przemysł, jest to chyba najbardziej uprzemysłowiona wieś na Lubelszczyźnie. Tartak, nasycalnia podkładów kolejowych, wytwórnia silikatów, piaskarnia, z której codziennie 48 wagonów piasku do Lublina leci, kolejka leśna — oto największe zakłady pracy, dające zatrudnienie około 700 mieszkańcom Lipy, oto szczęście miejscowości, a zarazem sto problemów społecznych.

Przy wjeździe do Lipy, od strony Zaklikowa, stoi okazały budynek szkoły podstawowej, wzniesiony w czynie społecznym. 45 dzieci w pierwszej klasie, we wszystkich klasach pełno, bo do Lipy ściągają młodzi ludzie, żenią się i robią wyż demograficzny. Garną się tu, choć 10 arów piachu kosztuje 30 i 40 tysięcy, trafnie przecież rachując, że przed Lipą przyszłość. No i w tej pięknej szkole, liczącej trzy kondygnacje i przeglądającej się w wodzie basenu, od roku nie ma palacza centralnego ogrzewania. Nikt z miejscowych nie kwapi się z objęciem takiej posady, jako że w nasycalni zarobki znacznie wyższe, do trzech tysięcy dochodzą, a po pracy w innej jeszcze robocie można majątek mnożyć i mnożyć, aż do momentu, kiedy osiągnie się tyle, że postawienie domku własnego przestaje być problemem spędzającym sen z utrudzonych powiek. Piętrowe w stylu willowym, czy parterowe, lecz bardzo obszerne domki posiadają w Lipie prawie wszyscy mieszkańcy, wieś wygląda nader okazale, zamożność wyłazi przez okna

Do Stalowej Woli, do huty, dojeżdża sto, a może nawet dwieście osób, które pochodziły już nieco po świecie i wiedzą, o co chodzi. Są to na ogół ludzie młodzi, lub w średnim wieku, a więc najbardziej prężni i wydajni. W stosunku do Lipy Stalowa Wola pełni rolę metropolii, tam kierują się marzenia najmłodszego pokolenia, które pokończyło szkoły średnie w Zaklikowie, Kraśniku i Rozwadowie, w Nisku i Stalowej Woli. Córka obecnej bibliotekarki, która po likwidacji rady gromadzkiej w Lipie musiała przekwalifikować się na pracownika resortu kultury i twierdzi, że jednym z najbardziej popularnych pisarzy jest we wsi Niziurska, a więc córka tej energicznej pani przez kilka lat jeździła do Liceum Ekonomicznego do Rozwadowa — pociągiem odchodzącym o godzinie 5,06, wracała zaś około w pół do szóstej wieczorem, jeśli pojazd nie uległ opóźnieniu. Trudziła się tak długo, aby obecnie rozpocząć pracę w nasycalni, którą traktuje jako etap przejściowy do lepszego życia, kojarzonego z m i a s t e m. Na studia nie poszła, „bo nie miała pleców i chęci". Orientacja życiowa młodego pokolenia przekracza, zdaje się, wyobrażenia dorosłych.

Ale Lipa też jest metropolią: wobec okolicznych wiosek, głęboko wrośniętych w sosnowe lasy, odciętych od świata kilometrami piaszczystych dróg, którym „Ursusy" z ledwością dają radę. Około czterdziestu pracowników dowozi tartak z Malińca, Gwizdowa i Osówka, dziesiątki ludzi z innych miejscowości transportują do Lipy pozostałe zakłady. Popracują rok dwa i dawaj do huty, gdzie więcej omasty na chlebie. Świadomość określa byt.

Od czasu do czasu handluje się więc w Lipie żywym towarem. „Daj mi we wrześniu elektryka na prace zlecone, a ja ci dam mechanika, byle nie na długo" — kablują do siebie kierownicy zakładów, wspomagając się w kadrowej potrzebie. W dziale mechanicznym tartaku brakuje połowy załogi, ale zakład i tak wykonuje plany, eksportując tarcicę do Anglii, Francji, Holandii, Włoch i NRF — ten ostatni kontrahent jest najbardziej wymagający. Przed wojną był to tartak mały i prywatny, przed którego bramami ciągle stały tłumy okolicznej biedoty, choć tylko trzydziestka mogła liczyć na zatrudnienie i to w okresie od listopada do kwietnia, kiedy przecierano śmieszne trzy albo cztery tysiące metrów sześciennych surowca. Dziś produkcja zwiększyła się dziesięciokrotnie, na dwóch zmianach pracuje około 140 osób, z czego trzydzieści procent to kobiety, ale tak na oko tartak nie wygląda imponująco: drewniane szopy, kolejka śmieszna, jak machiny z warszawsko-wiedeńskiej, nawet administracja po kątach baraku oblicza aktywa. Nad kilkubektarowym placem króluje jedyny symbol współczesności przemysłowej, a to żuraw budowlany „Mikołaj", wykorzystywany przy szaplowaniu tarcicy „po raz pierwszy w Polsce". W środku, w pomieszczeniach produkcyjnych, nieco lepiej, m. in. dzięki bydgoskim obrabiarkom do drewna, instalowanym od 1985 roku, z których każda kosztuje 600 tysięcy złotych.

400 domów wsi Lipa, rozciągniętych na przestrzeni pięciu kilometrów, kryje 1800 mieszkańców. Nie ma tu rodziny, z której pracowałaby t y l k o jedna osoba, każdy, kogo wiek nie zdemolował, albo nie jest dzieckiem, garnie się do roboty. Nawet w kółku rolniczym, które uchowało się tu na przedziwnej zasadzie i posiada imponującą rentowność. Oczywiście, kółko nie sieje, nie orze, lecz kooperuje z miejscowym przemysłem: a to z tartaku trociny wywozi, a to z betoniarni coś tam jeszcze. Każda z osób wchodzących w skład grupy załadunkowej — są to w większości kobiety — zarabia po pięć i więcej tysięcy na miesiąc, nie leniąc się także w niedziele i święta. Lipa pachnie inicjatywą.

Nie brak innych źródeł dochodu. Jeśli bowiem kogoś nie zadowolą trzy tysiące z nasycalni, po ośmiu godzinach udaje się do lasu, gdzie po wybraniu 100—200 sosen, wytacza z nich żywicę, inkasując następną „trójkę". W nasycalni nie jest przecież źle, a będzie jeszcze lepiej w momencie zainstalowania trzech wanien w budynku socjalnym, co upodobni ten obiekt do sanatorium. Jałowy piasek Lipy kryje bowiem źródła gorących wód siarkowych, o temperaturze ponad 40 stopni i stężeniu znacznie przewyższającym Busko. Co pewien czas do mieszkańców wsi dochodzą wieści, że jutro stanie tu okazałe sanatorium, które rozpocznie nową erę w dziejach Lipy. Na tym się jednak kończy, więc roztropni obywatele pomyśleli o rozwiązaniu kwestii własnym sumptem, w proporcjonalnie mniejszej skali. Stąd właśnie trzy wanny, instalacja wprost niesłychana na wsi, o znaczeniu symbolu.

Ludzie w Lipie chcą żyć lepiej, jeszcze lepiej. Dlatego pracują jak opętani, imają się różnych, byle dochodowych, zajęć. Wstają o świcie, kładą się spać o zmierzchu, tłuką się podłymi wagonami i autobusami. Są praktyczni, celowi w działaniu. Społecznie zaangażowali się przy budowie szkoły, drogi przez wieś, nie odstąpią od wzniesienia stadionu, domagają się przyzwoitszych sklepów... Wieczorami starsi i dzieciaci drzemią przed telewizorami, a podchmielone gromady młodzieży dewastują klub „Ruchu", jedyną placówkę z „kulturalnym" szyldem.

— Przymierzaliśmy się do budowy domu kultury, w ramach domu strażaka, ale sprawa upadła po likwidacji rady gromadzkiej w Lipie i ustanowieniu gminy w Zaklikowie — mówi Jan Jażdżewski, od 27 lat kierujący tartakiem.

— Sytuacja kultury na terenie gminy nie przedstawia się wesoło — komentuje naczelnik, Edward Winiarczyk.

— W Lipie młodzież nie ma fantazji, wszystko zawala — kategorycznie opiniuje mieszkanka Lipy, która po pięciu latach pobytu w jeleniogórskim powróciła w rodzinne strony.

„ZŁOTA KIELNIA"

Dokończenie ze str. 1

— O lastrico, klepce w podłogach, tynkach i szafie już wiem, co jeszcze? — pytam w innym mieszkaniu.

— A ja się pytam, czy na parterze powinny być balkony, czy nie? Bo w naszym bloku nie ma i w sąsiednich też! Garaże za blisko usytuowane, niemal pod samym oknem, choć niby parter wysoki. Krzywizna ścian nie pozwala w kuchni zawiesić normalnych szafek, trzeba te szafki wykonywać w kształcie trapezu. Progi między pokojami wyjmują się na piechotę. Futryny słabo umocowane. Za wolny odpływ wody z wanny. Zlewozmywak poobijany. Oświetlenie jest boczne, kinkietowe, nam wszystko jedno, ale większości ludzi to nie odpowiada, silniejsze żarówki trzeba wkręcać, żeby oświetlić cały pokój. Kontakty stale się odklejają od ścian i nie ma na to rady. Ludzie sami kleją kontakty, przekuwają sufity, żeby zainstalować oświetlenie centralne. Lokatorzy bawią się w naprawiaczy roboty projektantów i budowlanych.

W spisie lokatorów na jednej z klatek trafiam na nazwisko koleżanki po fachu. — Kobieta jestem samotna w M-2, skazana na cudzych mężczyzn — powiada mi na wstępie. — Dwu inżynierów i pięciu techników już u mnie było, żeby to mieszkanie jakoś doprowadzić do ładu. Goście jako prezenty przynoszą mi młotki, śrubokręty i płaskoszczypy, następnie biorą się za robotę, zamiast wódkę pić.

— Szpary w parkiecie widzę, ubytki tynku widzę, lastrico widzę, wannę obitą i zapacykowaną w tym miejscu na olejno widzę...

— Ale nie widzisz, że jak jest wiatr od wschodu, to przez nieszczelne moje okna tak dmucha, iż koszula nocna w łazience fruwa i w chałupie psiarnia się robi, choćby nawet grzali dobrze. Wszystko jest jakimś czarnym klejem zapacykowane, futryny szczególnie, nie mogę domyć, to już widzisz.

— Więc narzekasz?

— Kochany, o mnie mówią w pracy, że ja żyję z pisania o swoim mieszkaniu. Ale, po prawdzie, wszystko mogłabym darować, bo wszystko jest do usunięcia, tylko nie trzy rzeczy: kuchnia 1,5 m na 1,5 m, z wielką kuchenką gazową i potężnym gazomierzem nad zlewozmywakiem, tak mała i niefunkcjonalna, że lodówkę musiałam już ustawić w przedpokoju, a szafek wiszących nie ma gdzie umocować. Następnie brak balkonów we wszystkich M-2, a więc i u mnie. Ale głównie nie mogę zaakceptować tej rury ogrzewniczej w łazience, wygiętej w potworny sposób na całą ścianę, jedyną, gdzie można w ogóle jakąś szafkę postawić. Powierzchnia mieszkaniowa, wyposażenie, funkcjonalność mieszkań, wykonanie na „starym" LSM-ie były jednak lepsze... No c..., lecz i tak trzeba gdzieś mieszkać, wola boska i skrzypce — kończy realistycznie, choć nie całkiem racjonalistycznie.

Późnym już wieczorem wychodzę przed potężny masyw tego trzyklatkowego, jedenastopiętrowego bloku przy ul. Leonarda 9 w Lublinie i zastanawiam się, czy chciałbym tutaj mieszkać. Identycznych bloków, nawet pod względem kolorystycznym, stoi na Osiedlu im. Zygmunta Krasińskiego kilka. Odległość między nimi niewielka. Usytuowane w równym szeregu, przedzielone betonowymi pasami, tworzą rodzaj tuneli, w których hulają wiatry. Za mało zieleni, z której przecież LSM słynie w całej Polsce. Więc jeśli nie chciałbym mieszkać, to przede wszystkim ze względu na przytłaczającą urbanistykę osiedla, ciężkie bryły bloków, pustynie asfaltowe, tunele wietrzne...

Trudno natomiast uogólniać sytuację na podstawie kilku rozmów i kilku dziennikarskich wizji lokalnych, choć lokatorzy tego bloku nie mówili o rzeczach nieznanych. Trudno też częstokroć w tym układzie dotrzeć do przyczyn „problemu mieszkaniowego" i nie wiadomo, kogo uderzyć. Szeroko pojęta branża budowniczych jest to taka dziwna branża, iż kiedy dziennikarz zaczyna szukać winnych, wtedy nieuchronnie zostaje wmanewrowany w błędne koło: użytkownik — inwestor — wykonawca — projektant — urbanista i tak dalej. Znajdujące się na rynku wyposażenie nie pasuje do normatywów mieszkaniowych czy odwrotnie? Przecieki na złączach elementów ścian szczytowych wina projektanta czy wykonawcy? Nieszczelne okna wina montażu czy jakości stolarki i okuć? Urbanistyka wypływa z organizacji placu budowy czy odwrotnie (szczególny problem przy technologii budownictwa wielkopłytowego, wymagającej zastosowania ciężkich dźwigów)? Te wygięte rury ogrzewnicze w łazienkach to pomysł projektanta (zabezpieczenie rozszerzalności), ale sposób wygięcia na całą ścianę czyj pomysł?

Tu i ówdzie dałoby się znaleźć wyjście z błędnego koła. Na brak balkonów nie można się zgodzić i tu ukłon w stronę projektanta (Centralny Ośrodek Projektowo-Badawczy Budownictwa Ogólnego w Warszawie). Na spękane i zabrudzone lastrico nie można się zgodzić i tu ukłon w stronę wykonawcy (Lubelskie Przedsiębiorstwo Budowlane), który w przypadku bloku przy Leonarda 9 został obciążony przez LSM kwotą blisko 60 tys. zł. Ale nie o to idzie, by się bawić w policjantów i złodziei, gdyż użytkownika nie obchodzi ta zabawa, on chce mieszkać w miarę przynajmniej wygodnie.

Więc spieszę oddać sprawiedliwość, komu należy, a przede wszystkim Administracji Osiedla im. Zygmunta Krasińskiego i jej kierownictwu w osobie Józefa Górala, który jest wypróbowanym sojusznikiem lokatorów w usuwaniu budowlanych usterek i organizowaniu społecznych prac porządkowych wokół budynków. Tak mi ludzie kazali napisać i czynię to z przyjemnością. Zatem wszystko by było mniej więcej normalnie, a nawet może lepiej niż normalnie, gdyby nie fakt, iż blok ten, oddany do użytku z końcem ubiegłego roku, został odznaczony „Złotą Kielnią" — za jakość obiektu w sensie prac budowlanych i wykończeniowych (a te ustereczki niektóre?) i terminowość cyklu produk-

Kamena str. 4

znani i nieznani

Coś z niczego

Zygmunt Mikulski

KIEDY wychodzi na mównicę, sala się ożywia. Później z zainteresowaniem i rozbawieniem wysłuchuje słów wyraźnie kontrastujących z charakterem sąsiednich wystąpień. Bo słowa są rzeczowe, pozbawione „przemówieniowego sosu", podane językiem żywym, dowcipnym.

Mieczysław Matysik nigdy nie mówi inaczej. Zresztą nie można powiedzieć, żeby kiedykolwiek przemawiał. Jego wypowiedź jest jakby przedłużeniem działania, a działanie musi być proste, celowe, obliczone na określony skutek. Inaczej nie można pracować na roli.

Ileż to już lat tego poloneza na tomaszowskich rozłogach? Dwadzieścia pięć. Stare dzieje, kiedy to zespół byłych fornali, bezrolnych i przybyszów założył jedną z pierwszych „młodzieżówek" pod nazwą spółdzielnia produkcyjna w Łazowej. Stare dzieje. I Matysik wspomina je chętnie, jak wszystko z okresu młodości, ale nie bez pewnej goryczki. Tak, doszło do nieporozumień. Musiał odejść. Musiał odejść ktoś, kto pierwszy ruszył koło tej spółdzielczej maszyny i nadawał jej szybkość postępującą. Był przewodniczącym. Przy pierwszym poważniejszym konflikcie z zorganizowaną grupą oponentów nie szukał oparcia w reszcie zespołu. Odszedł. Żeby nie było podejrzenia, że upomina się o uznanie dla wkładu pracy i organizacyjnych zabiegów. Że upomina się o swoje.

I Mieczysław Matysik jest powodem do podjęcia problemu kierownika w produkcyjnym zakładzie rolnym. W oderwaniu od konkretów doświadczenia ten problem rozstrzyga się salomonowym sądem: no tak, odwieczny konflikt rządzących i rządzonych, musiał ten przewodniczący wymagać, musieli ci podlegający sarkać, no i tak się skończyło. Tymczasem w bezpośrednim kontakcie z Matysikiem wcale nie widzi się jego ciągot dyktatorskich, a jeśli pryncypialność — to wynikającą ze źródeł przedmiotowych: z wymagań, jakie stawia ziemia i specyfika pracy w rolniczym kolektywie.

Po roku 1956 podjął rzecz całkiem niepopularną: poprosił o przydział ziemi celem założenia spółdzielni produkcyjnej wraz z grupą 4 (słownie: czterech) ludzi, którzy mu zaufali i postawili stawkę wszystkich swoich nadziei na grę zespołowego gospodarowania. Otrzymali 330 całkiem kiepskich hektarów z samej Łysej Góry w Żurawcach. Obecnie, po 14 latach gospodarowania, jest tam 40 rodzin i 750 hektarów. Statystyka nie zawsze rozmija się z obrazem rzeczywistości. To proste zestawienie mówi językiem najwymowniejszym, ponieważ żaden chłop nie da się zaangażować do przedsięwzięcia, które nie rokuje widoków rozwoju. Teraz Żurawce nawet opędzać się muszą naporowi kandydatów również ze strony stażystów, którzy po technikach rolniczych odbywają tam praktyki.

— U nas sami młodzi. Tylko ja i magazynier, przybyły jeszcze z Łazowej, przekroczyliśmy pięćdziesiątkę. Ale nie cierpimy na brak ludzi. Mechanizacja postępuje, posiadanymi siłami możemy objąć jeszcze więcej ziemi, główny nacisk kładziemy na podniesienie techniki upraw i organizacji pracy. No i kwalifikacji pracowników. Ale co mi za podnoszenie kwalifikacji, kiedy agronomka, czy zootechniczka zaraz po rozpoczęciu pracy prosi o urlop macierzyński. Nie, nie będę przyjmował...

Napór ochotników. Dlaczego nie, skoro dniówka obrachunkowa wynosi obecnie 140 zł? W bieżącym roku postanawiają — mimo słabych zbiorów — podnieść jeszcze o 5 zł. Średnio w zeszłym roku zarabiało się 80 000 zł rocznie, a byli i tacy, co i po 120 000 zł. Istnieje małżeństwo, które za 8 miesięcy bieżącego roku zarobiło 196 000 zł. Dojarki — wynagradzane od litra, a pracujące po 3 godziny dziennie — osiągają od 3 000 do 4 000 zł miesięcznie. Żurawce z cichej kiedyś i opuszczonej wioski stały się po prostu atrakcyjne. Dlaczego?

— Towarzyszu redaktorze, niech to będzie nasz mały sekret. Przede wszystkim postawiliśmy na wyższą niż gdzie indziej zespołowość. U nas członek spółdzielni nie ma ani krowy ani świni. Pozornie to krępujące, ale w rezultacie obraca się na korzyść. Kiedy się ma prywatny, nawet tak niewielki inwentarz, zawsze więcej roboty wkłada się we własne podwórko, a na spółdzielcze przychodzi się odpocząć. To źle. Robota spółdzielcza, jako wyżej zmechanizowana, gwarantuje znacznie większą wydajność. Wysiłek włożony w maszynę, w lepszą organizację pracy profituje obficiej. A dodajmy, że zawsze jest skłonność trochę tej mieszanki, czy siana uszczknąć ze spółdzielczego dla siebie. Teraz to nawet już obórek nie budujemy. Po drugie: organizacja pracy. Jeżeli robotę zaczynamy o czwartej, to o trzeciej pięćdziesiąt pięć każdy traktorzysta trzyma nogę na sprzęgle. Nie chodzi o to, żeby ludzi wyżyłować, ale o to, żeby jedna grupa pracujących nie marnowała czasu przez nieobecność drugiej. Po trzecie — tak gospodarujemy, żeby zawsze mieć rezerwy. Na przykład: na maszyny żadnego kredytu nie bierzemy. Sprzęt po 10—12 sezonów obywa się bez generalnych remontów. Ot, w tym roku przeciętne zbiory zbóż się obniżyły, a my dniówkę podnosimy. Bo że obniżyły się, nie robimy tajemnicy. W ubiegłym roku pszenica „Grana" potrafiła dać nawet 50 q z ha, w tym dała 30, to samo „Kaukaz". Ale mirowska zawiodła zupełnie. Ziemia ciężka, rędzinna. Żyto w ogóle nie idzie. Za to buraków można zebrać i 400 q z ha. Z każdego hektara sprzedajemy pół tony mięsa. Zboża za 4 000 000 zł każdego roku. Obora — na 240 sztuk bydła. Świń 113 na 100 ha. Wiecie co? Powiadam, że aż strach gospodarować! Skala gospodarstwa duża, najmniejszy błąd może się zemścić setkami tysięcy strat! Ale jednego już nie rozumiem: narzeka się na niską produkcję, tymczasem z odebraniem tego, co wytworzymy też są kłopoty. Rozumiem, że Kraków i Rzeszów biorą mleko z Tomaszowa, bo w Lublinie czasowo zepsuło się urządzenie mleczarni. Ale zauważyłem, jakoby niektórym odbiorcom było w to graj, kiedy się mniej wyprodukuje, bo wtedy mniejszy kłopot z transportem. Dopiero jak wczoraj na Plenum KW to poruszyłem, dziś przysłano 2 ciężarówki. Ale nie co dzień plenum...

Z Żurawiec, kiedy je traktować od strony wizualnej, robi się czyste, estetyczne osiedle, nawet klomb przed budynkiem zarządu uformowany jest w inicjały spółdzielni. Jednego tylko zdaje się nie dostawać w sposób widoczny, ale jest to trudność dotycząca nie tylko tego miejsca: życia kulturalnego. Jest klub, jest komplet instrumentów, nie ma nadmiaru zainteresowanych. Dlaczego? Matysik również i na to ma swój własny pogląd, który wyraża z nieodmiennym „proszę ja was" wplatanym w co drugie zdanie.

— Ot, niedawno mówią mi, żeby ustawić elektryczne organy. No dobrze, ale w takim razie pianino trzeba będzie sprzedać! A jaka gwarancja, że nie pograsz dzień, dwa i tyle tego? Nie palą się bardzo. Może dlatego, że to nie kosztuje, że jest do osiągnięcia społecznym kosztem. Ale jeszcze ważniejszy powód jest chyba inny: załoga spółdzielni rekrutuje się z ludzi biednych. Owszem, można się dorobić i właśnie na ten dorobek jest nastawiona większość spółdzielców. Żeby jak najprędzej ten motor, a i o samochodzie nie grzech pomyśleć. Przez parę lat można tu osiągnąć niezły grosz, więc szkoda młodym okazji. Nie dziwię się, ale za moich czasów trochę inaczej z tym było.

„Za moich czasów". Matysik powiada, że jego dzieci już wkrótce będą miały dzieci, a jemu się wydaje, jakby nic nie zrobił. I że chciałby jeszcze gdzieś, jak dwa razy poprzednio, coś zacząć z niczego. Tak, jest w tym satysfakcja, kiedy widzi się takie wiejskie miasteczko i ludzkie nadzieje wyczarowane z samych tylko początkowych trudności, z samej podniebnej przestrzeni. Gdzie kołem traktora, bębnem kombajnu wypisuje się gwarancję zespołowego losu. Nie potrzeba jednak myśleć o tym w kategoriach przyszłości, skoro teraźniejszość tak wyraźnie zaświadcza o tym szelestem ziarna i zapachem benzyny.

Mieczysław Matysik
Fot. M. Polski

I SKRZYPCE

cyjnego (choć jeden z lokatorów powiedział, że mieli się wprowadzać już w październiku, a mogli to uczynić dopiero w grudniu).

Skoro jest tak dobrze z tym blokiem, to dlaczego cisną się tu refleksje nie całkiem wesołe, gdyby na to spojrzeć od strony zwykłego lokatora? Nie idzie nawet o to, że można spytać: jeśli tak wygląda budynek odznaczony, jak zatem wyglądają budynki nie odznaczone, czyli gorsze? Może ja przypadkiem trafiłem do najbardziej „zusterkowanych" mieszkań w bloku-laureacie? Idzie mi natomiast o społeczną rangę, zasięg i skuteczność akcji „Złotej Kielni".

Jak wynika z regulaminu tego, trwającego już od 9 lat, konkursu — chodzi o „podniesienie jakości wykonawstwa technicznego oraz przyspieszenie realizacji obiektów mieszkalnych" (a ostatnio również obiektów „użyteczności publicznej"). Byłem i jestem zwolennikiem „Złotej Kielni", która się narodziła na Lubelszczyźnie, aczkolwiek dotyczy jedynie samego Lublina i jest akcją niejako wewnętrzną, na użytek branży ściśle budowlanej. Pozwoliłem sobie przeprowadzić maleńką ankietkę pt. „Co daje Złota Kielnia?"

— Nic nam o tym nie wiadomo, żeby nasz blok zdobył „Złotą Kielnię" — powiadają w większości lokatorzy, z którymi rozmawiałem.

— Z prasy się dowiedziałem, że blok przy ul. Leonarda 9 dostał „Złotą Kielnię". Konkurs ten jest właściwie poza inwestorem. Jeśli idzie o jakość, to, o ile sobie przypominam, z tym blokiem było przy odbiorze stosunkowo najlepiej, aczkolwiek trudno coś konkretnie wyważyć, bo nawet w poszczególnych mieszkaniach jednego budynku jakość może się bardzo różnić — powiada wspomniany już przeze mnie Józef Góral.

— Konkurs wprowadza zdrową rywalizację w brygadach budowlanych, co wyraźnie widać. Bodźcami są niebagatelne nagrody. Rośnie prestiż robotników i przedsiębiorstwa, które wygrało konkurs — powiada Zdzisław Górski, zastępca dyrektora Lubelskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego. — No i jakość się podnosi — dodaje.

— Konkurs bardzo pożyteczny. Uaktywnia kierowników budów i majstrów, tych poruczników produkcji, od których bardzo wiele zależy, gdyż przy systemie akordu zryczałtowanego w ich rękach leży sterowanie premiami za jakość robót — powiada Andrzej Komorowski, zastępca dyrektora Lubelskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Ogólnego, sam zresztą nagrodzony w konkursie, kiedy jako kierownik budowy pracował w 1969 roku przy stołówce Akademii Medycznej w Lublinie.

— Nowością tego konkursu na tle krajowym jest położenie nacisku na przyspieszenie cyklu inwestycyjnego, skąd niebagatelne i oczywiste zyski dla gospodarki narodowej. No i ważna jest także sprawa jakości. „Złota Kielnia" byłaby przyczynkiem do próby podniesienia owej jakości we wcale niełatwej sytuacji na rynku materiałów budowlanych. Tylko nasi inwestorzy coś zmarnieli ostatnio. Mają dla wykonawcy tylko dwie „mowy": zetnę ci z rachunku, w prasie cię opiszę. Inwestor powinien wypracować metody oddziaływania na psychikę wykonawcy, musi mieć większy wpływ na terminowość, koszt i jakość inwestycji i musi umieć zajrzeć do sumienia, kieszeni i serca wykonawcy. To inwestorzy powinni wymyśleć ten konkurs, a nie my, wykonawcy — powiada Mieczysław Ćwikliński z Lubelskiego Zjednoczenia Budownictwa, przewodniczący stałej komisji konkursowej.

Już z tych wypowiedzi widać, jakie są mankamenty „Złotej Kielni" (choćby ograniczenie sprawy ściśle do wykonawstwa budowlanego, nikła współpraca w ramach konkursu między inwestorem a wykonawcą). Powiem jasno — nie chciałbym mieszkać w bloku przy ul. Leonarda 9, choćby mi się nawet trafiło mieszkanie bez usterek budowlanych, jak na locum w budynku-laureacie „Złotej Kielni" przystało. Nie chciałbym, bo chciałbym mieć balkon, oświetlenie w pokojach centralne, chciałbym do kuchni móc wstawić lodówkę, a do łazienki szafkę. Nie chciałbym, bo chciałbym więcej zieleni wokół bloków, a mniej asfaltu, więcej urozmaicenia architektonicznego, a mniej uniformizacji architektonicznej. I szczerze mówiąc, niewiele mnie by obchodziło, że mój budynek dostał „Złotą Kielnię", jeśli wszystko inne wyglądałoby tak, jak wygląda.

Przejaskrawiam świadomie, ale idzie o to, że jeśli ten konkurs w aktualnej sytuacji budownictwa w Polsce ma się stać czymś więcej niż tylko „przyczynkiem do próby", jeśli mógłby wpłynąć odczuwalnie na podniesienie kultury mieszkania — wówczas musiałby być potraktowany bardziej kompleksowo. Organizatorzy myślą ostatnio o rozszerzeniu konkursu na powiaty. Natychmiast się pod tym piszę! To jedno. „Może przy zgłaszaniu obiektów do konkursu przydałaby się jakaś preselekcja pod kątem projektowym i urbanistycznym w ramach istniejących możliwości manewru" — powiedział mi dyrektor Komorowski, kiedy podzieliłem się z nim swymi wątpliwościami. Właśnie — trzeba również uwzględnić sprawy urbanistyczne i kwestie projektów. Włączyć w całe dzieło więcej instytucji oraz instancji, nie martwiąc się, że wtedy specyfika czysto budowlana „Kielni" lubelskiej zostanie „zatracona". (Skoro i tak jest mało skuteczna).

Wówczas lokator będzie doskonale wiedział, że jego budynek zdobył „Złotą Kielnię", bo ten budynek będzie się od innych po prostu różnił w sensie pozytywnym. I chyba nie jest tak, że inwestor, projektant i wykonawca nie mają żadnej możliwości wyboru. Realną możliwość otwiera tutaj dążenie do typizacji otwartej w obrębie wielkopłytowej technologii budownictwa mieszkaniowego. Zainteresowani wiedzą, o czym myślę. A lokator może wtedy nie powie — i tak trzeba gdzieś mieszkać, wola boska i skrzypce. A dziennikarz nie pomyśli — „Złota Kielnia" i skrzypce.

Maciej Podgórski

Drzewa płonące

ZACZĄŁ w 1962 roku, przechodząc kilka etapów fotograficznych fascynacji: po kolei, krok za krokiem, jakby w lęku przed zbyt gwałtownym i samodzielnym odruchem. Wykonywał zdjęcia zatroskanych staruszków, przymierzał się aparatem do „łapania życia na gorąco". Dysponując zdolnością ostrego widzenia rzeczywistości i sporym zasobem energii, zrealizował setki fotografii na przyzwoitym poziomie. Mimo takiego wyposażenia, trochę jakby po omacku poszukiwał własnej formuły stylistycznej, a może nawet tematu, który by rezonował z jego typem wrażliwości emocjonalnej.

Do owej formuły zbliżył się w roku 1968, kiedy ogólna sytuacja w krajowej fotografii przyzwoliła na odejście od dotychczas obowiązującej doktryny reportażowej. Istotne, że ewolucja gatunku ujawniła naturalne u Zdzisława Dadosa skłonności do kreacjonizmu. W 1968 roku wystawiając z „Grupą Trzech", która zresztą okazała się efemerydą, pokazał fotograficzne metafory o raczej mało skomplikowanych treściach. Posługując się dość prostym i zdobywającym właśnie popularność zabiegiem symetrycznego powtórzenia motywu, stworzył przecież w fotograficznej scenerii rzeźbiarskich posągów niezwykle sugestywny, choć trudny do bliższego określenia klimat „wytrącenia z naturalnego porządku rzeczy".

W tym samym roku Dados zrealizował swoje pierwsze prace w kolorze, który aktualnie należy do podstawowych środków wyrazu, stosowanych przez autora. Jego rola w twórczości lubelskiego fotografika jest na tyle szczególna, że wymaga kilku zdań komentarza. Pomijając zdjęcia wywołane z barwnej taśmy, którymi rządzą konwencjonalne reguły techniczne, a kolor dodatkowo opisuje zewnętrzne cechy i właściwości przedmiotów, w najbardziej reprezentatywnej dla twórczości Dadosa grupie fotomontaży określa on treść emocjonalną i sens ideowy dzieła. Oryginał reprodukowanego wyżej fotogramu z aktem kobiecym na pierwszym planie utrzymany jest w tonacji chłodnego błękitu, rozjaśnianego miejscami prawie do białości. W ten sposób autor niejako wycisza rytm życia, sygnalizowany obecnością człowieka w pejzażu, dając zarazem wyraz swemu przekonaniu w jedność świata materialnego. Że nikt tu na siłę nie utożsamia własnej, odbiorczej interpretacji z poglądami autora, rzekomo wpisanymi w fotogram, świadczą inne prace, rozwijające wątek jednorodności świata: łagodna zieleń spowija rozległą przestrzeń jeziora, którego wody kryją uśpioną postać dziewczęcą; na puszystej łące naga kobieta „rośnie" wraz trawą. Przetłumaczone na słowo wyobrażenia te mogą budzić mieszane odczucia, więc wypada zaręczyć, że w bezpośrednim kontakcie fotogramy urzekają swoją wizualną urodą i niekłamanym nastrojem lirycznej poezji. „Moja wystawa — komentuje autor w katalogu ekspozycji indywidualnej z 1972 r. — jest zbiorem fotogramów przedstawiających pejzaż nie taki, jaki widzę, lecz taki, jaki czuję. Zapis wykonany na materiale fotograficznym jest dla mnie pretekstem do dalszych rozważań i poszukiwań wartości intuicyjnie wyczuwalnych, które wydobywam przy pomocy kreacji barwnej lub fotomontażu i w końcowym efekcie stwarzam obraz budzący w podświadomości surrealistyczne refleksje". W plenerze Dados wykonuje jakby szkice koncepcyjne, rozwijane następnie i wzbogacane — już w pracowni. Podczas pobytu w Jugosławii w 1970 r. wykonał cykl czarno-białych fotografii, które dopiero dwa lata później wykorzystał do opracowania kolorowych pejzaży.

Niejeden z nich tylko układem form podpowiada charakter realnego źródła inspiracji, są to właściwie pejzaże autorskiej wyobraźni. A trzeba przyznać, że jest to wyobraźnia bardzo żywa, zdolna do intrygującej komplikacji motywów, jakby podbieranych z rzeczywistości, której prawda, jak zdaje się mniemać Dados — kryje się pod zewnętrznym wyglądem przedmiotów. Aby do niej dotrzeć, należy zrezygnować z naiwnej wiary we względną choćby nieomylność i siłę poznawczą ludzkiego wzroku, odwołując się do pomocy intuicji. Wtedy i drzewa płoną bez ognia, a napięcie między sylwetą znieruchomiałego w locie ptaka a skalistą ziemią zyskuje wymiar wielkiego dramatu natury.

W niektórych pracach Dadosa pojawia się sylwetka nagiej kobiety: niewielka postać niknąca w dynamicznym splątaniu form krajobrazu, skulona na uboczu, dyskretnie wmontowana w kompozycję, albo przeciwnie — dominująca w kadrze. Nie są to jednak samoistne akty czy prowokacyjny przerywnik o erotycznym profilu. Mamy do czynienia ze znakiem człowieczej obecności w świecie stworzonym przez autora, ze swoistym przypomnieniem motywacji autorskiego działania. Albowiem u podłoża twórczości Dadosa, zwolennika fotografii subiektywnej, opartej na swobodnej kreacji, niezależnej od konieczności honorowania realnego wyglądu rzeczy, leży ostatecznie fascynacja naturą. Tyle, że artysta prezentuje własne widzenie rządzących nią mechanizmów.

K.

P.S. Zdzisław Dados urodził się w 1942 r. Miał dotąd pięć wystaw indywidualnych (niektóre z „Grupą Trzech"), uczestniczył w szeregu wystaw krajowych oraz międzynarodowych, z których pomijamy ważniejsze: „Den XVII" — Dania 1969; „Fotomundi" — Holandia 1969, 1972; Bukareszt 1971; „Fotoforum" — Czechosłowacja 1969, 1970, 1971, 1972; Singapur 1969.

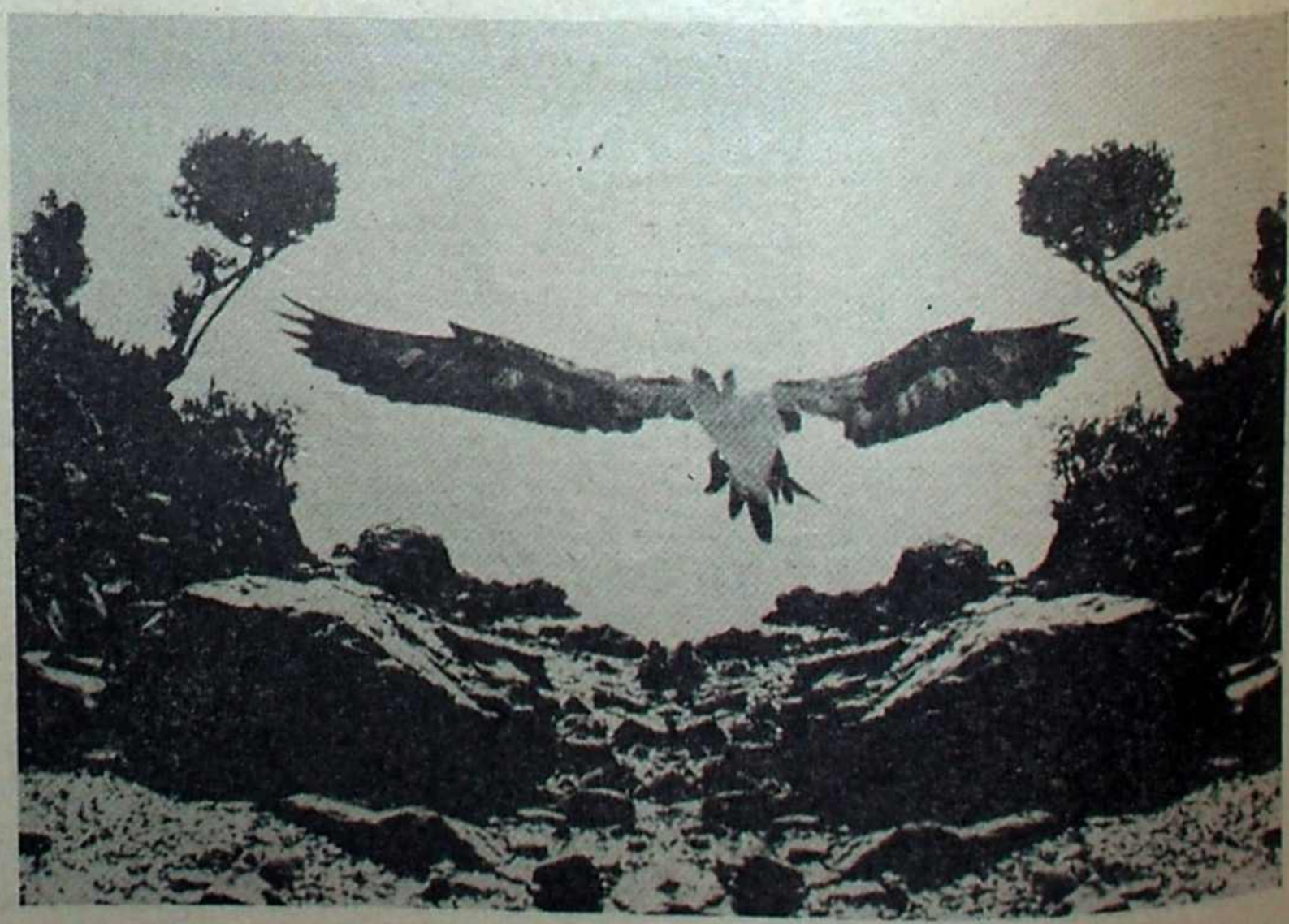

Z włóczęgi po Europie (3)

Dwa księstwa L

Krzysztof Janowicz

I POMYŚLEĆ, że jeszcze stosunkowo nie tak dawno było w Europie ponad 300 księstw, hrabstw i różnych innych, quasisuwerennych organizmów monarchistycznych. Cóż nam zostało z tych lat!?? Zostały dwa księstwa, nie licząc Monaco, z czego jedno Wielkie, a drugie dwa razy mniejsze od miasta Chełma.

W księstwie Wielkim rządzi wielki (oczywiście!) książę Jan, w księstwie dwa razy mniejszym od Chełma — książę Franciszek Józef (tyle że II). Słowa „rządzi" nie należy brać zbyt dosłownie. Obaj panowie mają bowiem do powiedzenia w sprawach państwowej wagi jeszcze mniej, niż ich znakomita koleżanka Elżbieta angielska. Stanowią natomiast niewątpliwą atrakcję turystyczną.

BALETMISTRZ NA WARCIE

Pałac wielkiego księcia Luksemburga znajduje się w bocznej uliczce i wcale niełatwo do niego trafić. Sam budynek jest skromny i w niczym nie przypomina pompatycznych zamków, wznoszących się dumnie na wyniosłych skałach. Naprzeciw pałacu można nawet zaparkować samochód. Widocznie wielkiemu księciu to nie przeszkadza.

Przed bramą stoi wartownik. Stoi przez kilka minut, po czym rozpoczyna odgrywanie scen baletowych. Najpierw przebiera w miejscu nogami i wyczynia jakieś łamańce z karabinem, po czym rusza w pląsy, zadzierając nogi tak wysoko, iż obserwatorów ogarnia lęk: przewróci się (na plecy), czy nie? Ta scena trwa kilka minut. Następnie baletmistrz żongluje jeszcze karabinem, tupie w miejscu i wreszcie nieruchomieje. Wszystko to razem jest może zabawne, ale wygląda malowniczo. Jakoś poetycko. Prozą są natomiast dwaj policjanci, którzy nie bawią się w balet, lecz po prostu pilnują spokoju wielkiego księcia Jana.

W księstwie Liechtenstein (tym dwa razy mniejszym od Chełma), a ściślej rzecz biorąc w jego stolicy Vaduz, nie ma tańczących wartowników. Sam zamek książęcy bije jednak na głowę pałac luksemburgski. Wznosi się na ogromnej skale, górując nie tylko nad Vaduz, lecz nad całym księstwem (co nie jest takie trudne...). Ma też imponujące tło: ośnieżone przez cały rok szczyty Alp. Zamku nie można zwiedzać. Duża tablica oznajmia lakonicznie: „Teren prywatny. Wstęp niedozwolony".

To jest jedna różnica między dwoma księstwami. Są jednak i inne. Między Belgią a Luksemburgiem (podobnie jak między Luksemburgiem a Francją lub NRF) istnieje „normalna" granica. Są szlabany (co prawda przeważnie podniesione), jest „Douane", ktoś tam sprawdza paszport. Można również wymienić pieniądze. Z wyjątkiem franków belgijskich, które są pełnoprawnym środkiem płatniczym w całym księstwie, honorowanym na równi z frankami luksemburgskimi. Między Szwajcarią a Liechtensteinem granicy nie ma. Parę kilometrów za szwajcarskim miastem Buchs płynie rzeka. Za mostkiem stoi tablica z napisem „Liechtenstein". I to wszystko. Nie ma żadnych franków Liechtensteinu (przynajmniej ja ich nie widziałem). Nie ma kontroli celnej, czy paszportowej. Szwajcaria reprezentuje księstwo za granicą, a tzw. Szwajcarski Związek, pod kierownictwem Wernera Stettlera, wywiera znaczny wpływ na życie polityczne i gospodarcze księstwa.

LUX W BENELUXIE

Wszystko to są jednak raczej różnice zewnętrzne, łatwo dostrzegalne dla turystycznego oka. Są jednak i i inne, użyjmy tu modnego słowa: strukturalne.

Luksemburg jest potęgą gospodarczą i wcale nie Kopciuszkiem w łonie Beneluxu. Posiada jeden z najwyższych na świecie wskaźników w wytopie stali (blisko 5 mln ton na niespełna 350 tys. mieszkańców). Jest potentatem w wydobyciu rud żelaza. Jego dochód narodowy jest jednym z najwyższych w Europie. Ma wysoko rozwinięte inne przemysły: materiałów budowlanych, chemiczny, spożywczy, włókienniczy, maszynowy, skórzany (w tym ostatnim specjalizuje się w wyrobie rękawiczek). Przez jego terytorium przebiegają ważne, międzynarodowe szlaki komunikacyjne.

A cóż Liechtenstein? Gdzie mu tam się równać do Wielkiego Księstwa! Wątpię, czy na terenie całego Liechtensteinu jest chociażby jedna, najskromniejsza nawet huta lub kopalnia. A jednak „poddani" Franciszka Józefa II nie krzywdują sobie. Blisko 400 mln franków szwajcarskich wpłynęło do księstwa w ub. roku z tytułu eksportu. Liczba, której by się nie powstydził sto razy większy kraj.

Cóż się złożyło na ten imponujący eksport? Elektronika, wyroby precyzyjne, protezy dentystyczne i znaczki pocztowe... W jaki sposób to mikroskopijne księstewko stało się monopolistą w produkcji protez dentystycznych — tego nie byłem w stanie rozgryźć. Ale to fakt. Protezy made in Liechtenstein uchodzą za coś doskonałego i niezrównanego.

Dobrze natomiast o pomysłowości mieszkańców księstwa świadczy to, że potrafili oni wśliznąć się do potężnego bractwa filatelistów. W Vaduz gdzie się nie obrócisz, zawsze możesz się natknąć na jakiś urząd pocztowy. Znaczki są wszędzie: na wystawach sklepów, w marketach, w księgarniach. Chętnie eksponuje się (ale już raczej ze względów patriotycznych niż ściśle komercjalnych) podobizny rodziny książęcej: Jego Wysokość Franciszek Józef, Jej Wysokość Gina i 5 dzieci (informacja dla zainteresowanych: następczynią tronu jest księżniczka Maria). Franciszek Józef jest zresztą bardzo popularny. Nie tylko ze względu na swoje walory osobiste, lecz również z uwagi na fakt, że jest to pierwszy panujący, który mieszka stale w Vaduz. Jego poprzednicy przebywali przeważnie za granicą, co nie przyczyniało się do zwiększenia ich publicity.

BRYLANTOWY BYZNES

Nie chodzi o szlifiernię diamentów, ani o nic, co wykazywałoby jakieś zbieżności z drogimi kamieniami. Po prostu jest to superlatyw na oznaczenie, iż istnieje interes jeszcze lepszy od tzw. złotego interesu.

Tym byznesem jest, oczywiście, turystyka. Nie jest to z pewnością żadna rewelacja. O przemyśle turystycznym — i o tym, co on daje — mówi się od lat, także i u nas. Na ogół jednak pomija się dyskretnie wstydliwe pytanie: „kiedy daje"?. Rzućmy okiem na Vaduz, a następnie na Luksemburg (miasto). Vaduz ma niespełna 4 tys. mieszkańców. Naliczyłem w tej dziurze na jednej ulicy — co prawda pryncypalnej — osiem hoteli. Z pewnością nie były to wszystkie, które stoją do dyspozycji gości (bardzo licznych) odwiedzających stolicę księstwa. Liczbie hoteli nie ustępuje liczba restauracji, nie mówiąc już o różnych kafejkach, barach szybkiej obsługi itp. To prawda, że Liechtenstein jest niezwykle malowniczy. Ma przepiękne pejzaże, wspaniałe łąki alpejskie, góry znacznie wyższe od naszych Tatr, a dolina Renu należy do najpiękniejszych zakątków Europy. Praktyczni mieszkańcy księstwa doszli jednakże już dawno do wniosku, iż najpiękniejsze pejzaże nie wystarczą, jeśli turysta nie ma gdzie skłonić znużonej głowy i nie ma gdzie przyzwoicie zjeść. Zainwestowano przeto ileś tam franków w te hoteliki, gospody i kafejki i dzisiaj interes rozkwita, a inwestycje od dziesiątków lat procentują.

Nie inaczej rzecz się ma w Luksemburgu (mieście). Oczywiście, wedle stawu grobla. Luksemburg jest dwadzieścia razy większy od Vaduz, przeto i hotele są okazalsze, i restauracje pakowniejsze. Zasada jest jednak ta sama: chcesz mieć gości, przygotuj dla nich, co trzeba.

RZĄD W KAMIENICY

Jak już wspomniałem, obaj książęta — ten wielki z Luksemburga i ten zwykły z Liechtensteinu — odgrywają rolę raczej dekoracyjną. Wielki książę Jan de domo Nassau jest wprawdzie głową państwa i powołuje rząd, niemniej nie według własnego widzimisię. Otrzymuje raczej listę tych panów, z których rząd ma się składać.

W Liechtensteinie jest też rząd. Ma swego premiera, różne resorty. Tyle tylko, iż dla rządu wystarczy jeden budynek, wyglądający jak czynszowa kamienica średnich rozmiarów. W Vaduz niektóre hotele są okazalsze, niż siedziba władz! Poczynania rządu kontroluje Landtag, o 4-letniej kadencji, powoływany w wyborach powszechnych. Kiepskie widoki ma natomiast każdy, kto chciałby się poświęcić służbie dyplomatycznej. Ponieważ interesy Liechtensteinu — jak wspomniałem — reprezentuje za granicą Szwajcaria, żaden mieszkaniec księstwa nie może się ubiegać o godność ambasadora, a nawet konsula... Skromne są również możliwości w dziedzinie militarnej, chociaż przed kilkoma jeszcze wiekami Liechtenstein, a raczej posiadłości Vaduz i Schellenburg, z których powstało później księstwo, dostarczały niezrównanych żołnierzy. Tyle, że profesjonalnych, działających na zasadzie: kto płaci więcej, dla tego walczymy.

Luksemburg natomiast ma w dziedzinie militarnej ugruntowaną sławę. Miasto uchodziło ongiś za najsilniejszą twierdzę Europy. Fortyfikowali je bowiem kolejno: Burgundowie, Hiszpanie, Austriacy, Holendrzy i Francuzi. Każdy, kto sprawował aktualnie władzę nad miastem, liczył na to, że tam już na stałe osiądzie i ciągle coś dobudowywał do fortyfikacji. Ponieważ jednak nikt na stałe nie osiadł, stąd wniosek, że nawet najsilniejsze fortyfikacje nie uchroniły miasta przed coraz to nową okupacją. Jednakże mieszkańcy Luksemburga wdzięcznie i mile wspominają te wojenne inwestycje. Za słoną opłatą można zwiedzić 53 twierdze oraz wykute w skale tunele, o łącznej długości 20 km, które łączyły poszczególne punkty oporu tego „Gibraltaru Północy".

Dziś nikt nie usiłuje zbrojną dłonią zająć Luksemburga. Mieszkańcy Liechtensteinu nie strzelają z muszkietów i nie wywijają halabardami, uważając (i słusznie!), że wyrób protez dentystycznych jest spokojniejszy i przynosi lepszy profit. Oba księstwa nie są areną doniosłych wydarzeń i stoją — mimo przynależności Luksemburga do NATO — raczej na uboczu wielkiej polityki. A turyści z całego świata fotografują wartowników przed pałacem Wielkiego Księcia i zaglądają ciekawie na dziedziniec zamku w Vaduz. Przy okazji zostawiają co roku parędziesiąt milionów dolarów, a za taką cenę można kazać wartownikom wyczyniać najdziwniejsze baletowe łamańce...

OBEJRZAŁEM sobie w TV (15 IX) pierwszy odcinek rozrywkowego programu Jana Pietrzaka pt. „Coś podobnego". Program jak program. Pomysł nawet interesujący. Byłby to pierwszy w dziejach naszego „małego ekranu" magazyn rozrywkowy, dający przegląd najrozmaitszych rodzajów rozrywki (w pierwszym programie zapowiedziano: rewię, show, interwiew, kabaret, nonstopi, dyskutowanych — jak to się mówi — na żywo przez zebrane w studio grono ekspertów. Powiadam — program jak program. Zobaczymy, jak on się rozwinie i ukrzepnie, aczkolwiek dawno już nam było potrzeba czegoś oryginalnego w tej dziedzinie, skoro po „Małżeństwach doskonałych" i „Karierach" dawno już słuch zaginął.

Więc na razie jestem za Janem Pietrzakiem, choć z ostrożną rezerwą. Zdenerwował mnie natomiast jeden z ekspertów, jedyny długowłosy pośród dyskutujących panów — Marek Groński. Ale nie zdenerwował mnie bynajmniej dlatego, że się domagał tolerancji dla młodych, dziarsko fikających w nonstopie. Wcale nic zdrożnego ten nonstop, żadna ruja i pornobstwo — powiedział. — Młodzi po prostu bawią się na swój sposób. I w tym momencie miał rację. Bo niektórzy starsi, jak tylko zobaczą grono kołebiących się w tańcu długowłosych, zaraz skłonni są pytać: co oni w ten sposób demonstrują, może jakąś pogardę, a może jakieś niezdrowe myśli? Niczego nie demonstrują, proszę państwa, bawią się po swojemu i niewiele ich ponadto obchodzi.

NIETOLERANCJA W TOLERANCJI

Marek Groński zdenerwował mnie w innym momencie. Kiedy domagając się tolerancji dla długowłosych, wykazał równocześnie ostrą nietolerancję wobec miłośników artysty Gałązki i jego mamroczącej kukiełki oraz wobec miłośników orkiestry dętej, przygrywającej w jednym z parków warszawskich. Żeby to mi był ostatni program elitarny dla półinteligentów — powiada Groński. I tu błądzi straszliwie, z czym zresztą nieskutecznie usiłował walczyć inny ekspert — pan Wróblewski

Groński zdaje się należeć do tych, którzy chcieliby uszczęśliwiać ludzi na siłę, zbawiać ich za wszelką cenę serwowaniem ekskluzywnych kabaretów, sztuki pianistycznej Hesse-Bukowskiej, sztuki aktorskiej Hanuszkiewicza, sztuki piosenkarskiej Demarczyk i tak dalej. Osobiście gustuję w ekskluzywnych kabaretach, Hesse-Bukowskiej, Hanuszkiewiczu i Ewie Demarczyk i zapewne gustuje w nich pan Groński. Ale może spora część ludzi nie chce ekskluzywnych kabaretów, Hesse-Bukowskiej i tak dalej, może woli artystę Gałązkę i orkiestry dęte? I może oni nawet są szczęśliwi ze swoim artystą Gałązką i orkiestrami dętymi?

W każdym razie pretensje, że wolą Gałązkę od na przykład Hanuszkiewicza, są to pretensje małego Marceczka, który się bawi w politykę kulturalnego. Inni są ludzie oglądający Gałązkę, inni — oglądający Hanuszkiewicza. I trzeba te inność uszanować. Pobudowaliśmy w Polsce domy kultury, które — jak ogólnie wiadomo — świecą pustkami, a jeśli nawet są zaludniane, to przez generacje w wieku pozaprodukcyjnym: dzieci i starców. Sterowanie kulturą poprzez domy kultury jakoś nam nie wychodzi. Zaczynam podejrzewać, że kultura — jako pewien stan duchowy, sposób odreagowywania na świat — tworzy się poza siecią placówek i czynników sterujących.

Czy to znaczy, że nie należy w ogóle sterować? Bynajmniej. Trzeba tylko pamiętać o starej zasadzie pedagogicznej — treści muszą być na tyle dostępne, żeby docierały do odbiorców, a zarazem na tyle „ekskluzywne", żeby ich rozwijały. Bardziej jednak od nietolerancji (nawet!) denerwuje mnie partyzantka kulturalna, działająca pod przykrywką polityki kulturalnej.

Oto wpadł mi przypadkiem w ręce wybór wierszy pt. „Twarzą do słońca", wydany nakładem ZG ZMW i Krajowej Rady KKMP (Warszawa 1973), a dedykowany delegatom na V Krajowy Zjazd ZMW. Tom oddano do składu 10 II 1973 r., a druk ukończono już 20 II 1973 r. Jest to — jak na nasze warunki edytorskie — absolutna rewelacja wydawnicza, gdyby szło o szybkość procesu drukarskiego. Taka „błyskawica" kosztuje bardzo drogo, choćby się ją nawet wydało tylko w nakładzie 500 egzemplarzy. Wyboru wierszy dokonał pewien poeta, zaś okładkę opracował syn jego. I ja się pytam po co to wszystko, aczkolwiek okazja niby godna?

Są w tym tomie wiersze „tradycyjne" i „nowoczesne", drukują tam blondyni i bruneci, zwykli ludzie i zastępcy redaktorów naczelnych, nastolatkowie niemal i ludzie przedwojenni, autorzy starsi od niejednego prezesa oddziału ZLP. Są wiersze nieznane, są i takie, którymi autorzy obracają od paru lat. Jest także nieśmiertelny Jerzy J. I ja się znowu pytam, po co to wszystko? Co tych ludzi i te wiersze łączy, poza tym że zdarzyła się okazja wydania paru groszy i — może — zarobienia paru groszy, aczkolwiek — jak słyszę — autorom podobno nie zapłacono. Co łączy ten tomik, skoro został wydany z okazji Zjazdu ZMW?

Niewiele łączy, tomik nie demonstruje niczego wspólnego i adresowany jest do wszystkich, czyli do nikogo. Wystawia zatem czytelnika nie tyle twarzą do słońca, ile siedzeniem do wiatru. Program Jana Pietrzaka prowokuje przynajmniej do dyskusji, w czym zasługa na przykład... Grońskiego. „Twarzą do słońca" nie prowokuje do niczego. Jeśli więc jestem zwolennikiem tolerancji dla ludzkiej inności, dla ludzkich gustów, to nie znaczy, że jestem zwolennikiem bezhołowia. W każdej mądrej tolerancji potrzebna jest odrobina rygoru i pewna oszczędność inwestowania, a więc pewien porządek myślenia. Nietolerancja w tolerancji.

MAP

Bardzo osobiście...

Dokończenie ze str. 1

Oczywiście, pomagały dokumenty, a także relacje innych osób.

1 dywizja walczyła w bitwie pod Lenino o dwie miejscowości — Trigubowo i Połzuchy, oraz o wzgórze 215,5, częściowo tylko o wzgórze 217,6 i o małe bezimienne wzgórze. Walczyły poszczególne pułki lub nawet tylko kompanie.

Aliści podczas zbierania relacji stykałem się z takimi „specami", którzy jednocześnie brali pistoletem maszynowym zarówno Trigubowo jak i Połzuchy.

Pół biedy, jeśli znałem numer pułku, batalionu, w którym służył żołnierz — dość szybko udawało mu się wytłumaczyć, że było to raczej niemożliwe.

Wyskakuje mi wszakże pewien rolnik, dla ścisłości: żołnierz z ładną kartą.

— Jak nasz 2 dywizjon moździerzy łupnął pod Lenino...

Dziwię się. Nie było w bitwie takiego dywizjonu. Mówię o tym.

— Panie, był. Wszedł później w skład 1 pułku moździerzy.

— Owszem, był taki pułk, ale pod Lenino nie walczył — replikuję.

— Walczył. Pojechaliśmy pod Lenino na ćwiczenia.

Nie przekonałem go, że coś się w jego relacji nie zgadza.

Jeszcze potem — po jego kategorycznym stwierdzeniu, że służył w tym właśnie pułku — upewniam się u speców — artylerzystów.

Oczywiście, 1 pułk moździerzy nie uczestniczył w pierwszym boju 1 dywizji piechoty. A więc — mitoman.

Inny przykład.

— Panie, jak się przeprawialiśmy pontonami przez tę Miereję...

Znów się dziwię.

— Pontonami? Przez tę wąską rzeczkę? To prawda, były bagna, ale gdzie tam pontony... — pod Lenino wszakże już byłem, widziałem tę przeszkodę wodną.

Patrzy na mnie zgorszony.

— Były pontony!

No i — już. Relacja jednak toczy się dalej.

— Panie, jak zdobyliśmy te kamienice...

— Jakie kamienice? — znów nie panuję nad zdziwieniem — toż tam były białoruskie, parterowe wiejskie domy strzechą kryte. Jedyny wysoki budynek to zrujnowany „winzawod".

— Były kamienice! — przygważdża mnie rozmówca.

Jeszcze kilka tego rodzaju odezwań i z mojej strony kontrolnych pytań, a sytuacja rysuje się jasno. I ten ba'a'z nie walczył pod Lenino. Dla wzmocnienia swej opowieści dodaje, że był chorążym w 3 pułku piechoty.

Ano, szukajmy. Ewidencje oficerskie są w Centralnym Archiwum. Szukam nazwiska rozmówcy. Nie ma. Wprawdzie i przedtem byłem pewien jego nieobecności w bitwie pod Lenino, ale sprawdzić trzeba. Przypadkiem, w innej teczce, natykam się na mego zdobywcę podleninowskich kamienic. W wojsku zjawił się jesienią... 1944 roku, pod Warszawą. Służył w jednostkach kwatermistrzowskich. Też potrzebne, konieczne. Nie każdy dostawał przydział do kompanii fizylierów czy plutonu zwiadu. Potrzebni byli również krawcy, szewcy, kucharze.

Spotykałem podobnych wypadków kilka. Oczywiście z tych relacji nie skorzystałem.

Po pierwszym uczuciu poirytowania, że usiłowali wprowadzić mnie w błąd, przyszła refleksja. Mity? Ależ tak, oczywiście. Poprawianie sobie d z i s i a j samopoczucia, gdy człowiek jest życiem sterany, zmęczony, schorowany? Na pewno tak. Próba podniesienia swej wartości? Oczywiście.

A może po prostu jestem, jako dokumentalista i były żołnierz, zwyczajnie przewrażliwiony?

Nie dopisywałby się jeden z drugim do tej bitwy, gdyby nie była ona już swego rodzaju symbolem. Gdyby nie znalazła się w ojczystym, żołnierskim panteonie sławy. Człowiek przecież chce się ogrzewać w blasku wielkości.

I oto stopniało moje rozsierdzenie na mitomanów, którzy niewinnie (dopóki nie zaczynają publikować swych rzekomo autentycznych przygód) poprawiają sobie życiorys, przy okazji sławiąc żołnierski czyn.

Na szczęście żyje jeszcze, według moich szacunkowych obliczeń, około 2 000, może nawet nieco więcej, autentycznych uczestników bitwy pod Lenino. Oni dają świadectwo prawdzie.

Maleńkie, nieporadne mity — nie potrafią zaszkodzić.

Lenino

Fot. CAF

NIEZNANE PUŁKI I BATALIONY

Swoją żołnierską powinność spełniałem w szeregach 3 Pomorskiej Dywizji Piechoty im. Romualda Traugutta (jeszcze do niej wrócę). I wcale nie kryję, że jestem jej gorącym patriotą. Jasne, nie było lepszej dywizji niż m o j a, w której byłem kapralem, sierżantem, chorążym, podporucznikiem.

Tak uważa ogromna większość byłych żołnierzy. Te patriotyzmy dywizyjne i pułkowe może są i zabawne, ale stanowiły w czasie frontu, stanowią i dziś po latach, ogromnie spajający cement.

Z racji wspomnianej książki nie wiadomo kiedy stałem się także patriotą... (no, może o jeden stopień odczucia mniejszy) 1 dywizji piechoty kościuszkowców. Nie darmo śniły mi się po nocach ludzkie losy żołnierzy tej właśnie jednostki. Oprócz historii macierzystej dywizji, tę właśnie — kościuszkowską — znam dziś najlepiej. Zza dokumentu bardzo często wyjrzy do mnie znajoma twarz. Znajoma niekoniecznie w tym sensie, że przegadaliśmy wiele godzin, ale po prostu ten oficer, ten szeregowiec jest mi bliski z racji śledzenia jego losów.

Niekiedy człowiekowi wydaje się zgoła zarozumiale, że już niewiele może dowiedzieć się o tych obu dywizjach.

Staję jednak, kilka razy w roku co najmniej, z przysłowiową rozdziawioną gębą, gdy trafiam do Centralnego Archiwum Wojskowego. Oto sięgam po teczki, niemal dziewicze, nietknięte ręką historyka, pisarza czy publicysty.

Ot, choćby 2 samodzielny zmotoryzowany przeciwpancerny batalion miotaczy ognia. A jakże, wspierał nas w Kołobrzegu!

Teraz znajduję suche liczby. Że to oni, w tych najtrudniejszych dniach, gdy niepodobieństwem było podnieść głowę w kołobrzeskiej ulewie ognia — swoimi „fogami" i „roksami" (tak nazywały się miotacze ognia) spalili 22 domy. Pomogli 7 Kołobrzeskiemu pułkowi piechoty zdobyć 7 kwartałów domów. „Straty własne — 16 zabitych, 25 rannych".

Melancholijnie konstatuję, że o tym batalionie wiem mało, ogromnie mało.

To znów dokumenty 5 brygady artylerii ciężkiej. Jasne, dokuczaliśmy jej żołnierzom — w okresach międzybitewnych — okrutnie. Że daleko z tyłu, że spokojne życie, wygoda, słowem — sama radość.

I nagle znajduję lakoniczną wiadomość: aż 22 żołnierzy, w tym 5 oficerów z dowódcą dywizjonu majorem Bronisławem Skulbaszewskim, zginęło w dniu 31 października 1944 roku na punkcie obserwacyjnym niedaleko Jabłonny. Szykowano się właśnie do likwidacji niemieckiego przyczółka.

22 artylerzystów zginęło od tkwiącej w ziemi zegarowej miny. „Spokojne, artyleryjskie życie" — mawialiśmy.

W owej brygadzie — to już ciekawostka dla „dłubiących" w tym temacie — znalazło się aż 200 Polaków, którzy przeszli z Wehrmachtu przez linię frontu. Ślązaków, Pomorzaków, wcielonych do nienawistnej armii.

Przychodzili z różnym wianem. Jeden z nich, Joachim Koczy, nie dość, że przyniósł ręce i umiejętności szoferskie, ale także dotarł do radzieckich linii samochodem.

Natomiast Franciszek Król, rodem z Chwaszczyna koło Orłowa, Kaszub, którego hitlerowcy usiłowali germanizować zmieniając mu nazwisko na „Krool", w okresie tworzenia przyczółka warecko-magnuszewskiego w sierpniu 1944 roku nie dość, że przyjechał niemiecką „hansą", to jeszcze na dokładkę przywiózł na niej... radiostację i dwóch związanych esesowców. Był to jego swoisty „wkup" w szeregi polskiej armii. No i do końca wojny jeździł jako frontowy szofer w 3 brygadzie artylerii haubic.

... Ileż takich nieopisanych pułków i batalionów, brygad i dywizjonów. I najważniejsze — ludzi tam służących.

Raz po raz, podczas pobytu w CAW, otrzymuję lekcję skromności. Jak mało ciągle wiem o swoich towarzyszach frontowych dróg...

Ba, nie tylko z innych dywizji. Nieoczekiwanie szukając zupełnie innych materiałów, natykam się na teczki 3 samodzielnego batalionu sanitarnego, wchodzącego w skład 3 dywizji piechoty. Dowodził tym batalionem major Adam Gasperowicz, obecnie pułkownik w stanie spoczynku. Miałem ci i ja okazję poznawać „gospodarstwo Gasperowicza", jak to oznaczały frontowe drogowskazy. Po prostu, gdy byłem dwakroć ranny — dwakroć trafiałem pod noże chirurgów majora Gasperowicza (jeden z nich — ppłk. rez. lekarz Mieczysław Kusto, mieszkający dziś w Kołobrzegu, poznał na mej ręce swój „sznyt". Ogromnieśmy się obaj z tego ucieszyli).

Wtedy, w czasie wojny, może nie aż tak kąśliwie jak o żołnierzach z kwatermistrzostwa, ale również z lekką nutą wyższości wyrażaliśmy się o „łapiduchach". Zazwyczaj — do pierwszego ranienia. Ten moment zmieniał poglądy.

„Łapiduchy" ratowały rękę, nogę, często — życie.

Przyznaję jednak uczciwie, że nie byłem wysokiego mniemania o porządku u „łapiduchów".

Teraz przeglądam księgę po księdze. Dokładnie, ze szczegółami opisany — pod względem lekarskim — każdy trudniejszy przypadek. Każdy wypadek śmierci w batalionie („przywieziony w stanie agonalnym" — jakże często powtarza się to sformułowanie) bardzo starannie udokumentowany. Ale nie jak to zwykli czynić biurokraci, by się im podkładki zgadzały: za każdym z tych dokumentów kryje się dramat. Jest powaga śmierci. Jest jakby rozłożenie rąk: robiliśmy wszystko, co było w naszej, lekarskiej mocy.

A nie było przecież jeszcze u nas penicyliny, ni innych antybiotyków. Brakowało światła elektrycznego, niekiedy — prostych leków.

Przeżyłem nad tymi dokumentami kilka wstrząsów. Oto najbliższy mi kolega, którego śladów poszukiwałem przez całe lata. Oto koleżanka z pułku. Dokładnie: kiedy przywieziona, kiedy operowana, jakie uszkodzenia ciała, co było przyczyną śmierci.

Ileż jeszcze ludzkich dramatów, ileż indywidualnych obrazów wojny można ukazać na podstawie tych dokumentów, do których tak rzadko sięga historyk i pisarz. Jakaż to ciągle niewyeksploatowana skarbnica wiedzy, wiedzy niezafałszowanej, nie podmalowywanej dzisiejszym spojrzeniem — o nas, żołnierzach. I aż człowieka ogarnia żal, jak skromnie zdołał to bogactwo wykorzystać. Nie starczy życia wielu historyków i pisarzy.

BOHATER, CZY...

To tylko człowiek młodego pokolenia, kokieteryjnie udający starca na łamach jednego z pism kulturalnych skreśla apodyktycznie z języka polskiego słowo „bohater".

To prawda, znam wiele takich osób, których odświętne klapy cywilnych marynarek czy galowe mundury oficerskie zdobi krzyż „Virtuti Militari". Przyznawany — najwaleczniejszym. Bronią się jednak ci kawalerowie orderu, gdy ktoś ośmieli się nazwać ich bohaterami.

— Robiłem to, co każdy by zrobił — powiadają niejednokrotnie, lakonicznie.

A przecież za każdym czynem jednak b o h a t e r s k i m krył się także ludzki lęk. Przeczucie niebezpieczeństwa. Przejmujący aż do szpiku kości strach. Dławienie w gardle, ściskanie w żołądku. Jak to przemóc? Jak nie pozwolić, by strach wziął górę nade mną, człowiekiem nie tylko odczuwającym, ale i myślącym?

Pasjonuje mnie, już nie tyle jako dokumentalistę, ile raczej jako pisarza, próbującego się wczuwać w te ludzkie stany (nieobce mi zresztą z frontu), ów dylemat: strach — męstwo, bohater — tchórz. Który to krok, czasem jeden jedyny, decydował, że z przysłowiowej kompanijnej ofermy stawał się, jeśli nie bohater, to mężny żołnierz? Jaka była ta myśl, która sprawiała, że szanowany w kompanii, batalionie oficer, oceniany przez zwierzchników jako odważny — podawał nagle tył?

Znajduję w tychże archiwaliach CAW meldunek, że chor. X. na Wale Pomorskim, no co tu kryć — zaczął uciekać. Znam X. Razem leżeliśmy w szpitalu. Chwila niesmaku. Takiś, bracie?

Opowiadałeś inaczej, ładniej.

Wertuję kartkę po kartce, szukając zupełnie innego tworzywa, ale stwierdzam w pewnej chwili, że jestem napięty i instynktownie wypatruję nazwiska. Sąd? Karna kompania?

Nie. Raz po raz duże meldunki. Chorąży X. porwał za sobą kompanię. Chorąży X. pierwszy wdarł się do niemieckich bunkrów. Chor. X. został ranny...

I później, już po kilku dniach, oko wyławia jego nazwisko wśród odznaczonych krzyżem „Virtuti Militari".

Lepiej rozumiem jego odezwania.

— Cóż ja zrobiłem? To każdy by zrobił...

I jednocześnie nabiera on dla mnie dodatkowo ludzkiego wyrazu. Nie posąg, nie spiż i granit. Człowiek, który zaufał, dał mu szansę rehabilitacji. Właśnie — nie sąd, nie karna kompania. Rehabilituj się, bracie!

Dokonał tego. Stał się prawdziwym żołnierzem. Pokonał nie tylko wroga, również i swoją słabość.

Ileż takich słabości — fizycznych i psychicznych — musiał pokonywać każdy z nas?

Kamena str. 8

Ileż wspomnień o krytycznych chwilach drzemie w nas?

I gorycz, o której nie bardzo lubimy mówić, że jednak zdarzył się obok nas, w plutonie czy kompanii przypadek kiedy ciśnienie strachu okazało się silniejsze od siły woli.

Cóż, nie sami bohaterowie byli na wojnie. Ludzie.

Ich wzloty i dramaty ciągle zapładniają wyobraźnię niejednego piszącego. Niewymyślone to tworzywo. Niosło je żołnierskie życie.

LUBLINIANA

Jako ten, który w dowodzie osobistym ma wpisane miejsce urodzenia „Lublin", tu się wychowywał, uczył, tu kochał i zaczynał studiować, a także pracować — jestem wyczulony na wszelkie wojskowe „lubliniana".

Tak było i tym razem, gdy grzebałem się w dokumentach, trupiąc ludzkie losy frontowych szoferów, jako że o nich piszę obecnie nieco żartobliwą, dokumentalną opowieść.

Tworzywo, jak się rzekło, samo pcha się w ręce.

Oto właśnie moja 3 dywizja piechoty, w której przebyłem cały frontowy szlak.

Jeszcze wtedy leżałem w szpitalu w Myśliborzu, po drugim ranieniu i nie śniło mi się, że po wojennej potrzebie macierzysta dywizja stanie garnizonem w macierzystym mieście.

Naczelny Dowódca Wojska Polskiego, marszałek Michał Rola Żymierski już jednak 24 maja 1945 roku wydał rozkaz o dyslokacji niektórych dywizji 1 i 2 armii Wojska Polskiego.

Trzeciej — wyznaczono Lublin. Przywrócenie spokoju na tej zmęczonej ziemi, to było zadanie naczelne. Jeszcze, niestety, wielu chłopców z berlińskiego szlaku położyło głowy na mojej rodzinnej ziemi. Szczególnie to bolesny rozdział, o którym nie wolno zapomnieć, nawet w uroczystym dniu.

Na szczęście, i wtedy w gąszczu wojny domowej, przychodziły rozkazy, pozwalające na odzyskanie spokoju ducha.

6 czerwca, kiedy większość transportów dywizji i naszego 7 Kołobrzeskiego pp już wyładowała się na Lubelszczyźnie — Naczelny Dowódca WP wydaje rozkaz o likwidacji pozostałości po wojnie. To właśnie wojsko ma zasypywać okopy, rowy przeciwczołgowe, przywracać ziemię rolnikom.

I jakby do rangi symbolu urasta meldunek z dnia 30 lipca 1945 roku. Oto grupa żołnierzy z 4 batalionu saperów (3 dywizji) oraz saperzy z 7, 8 i 9 pułku piechoty w ciągu czterech dni zdjęła i unieszkodliwiła 21 430 min, pocisków i bomb na przyczółku warecko-magnuszewskim. Przeciętnie na sapera przypadło dziennie 50 min. A więc 50 razy w ciągu dnia każdy z saperów mógł się omylić... Poległo dwóch saperów, dwóch odniosło rany.

Symbol zaś — może i mimowolny — tkwił w tym, że niemal dokładnie przed rokiem, z początkiem sierpnia 1944 r., właśnie tu, na przyczółku warecko-magnuszewskim, trauguttowcy przechodzili bojowy chrzest. Tę ziemię zdobywali, jej bronili, dziś — po roku — przywracają właściwemu życiu.

I jeszcze inny meldunek — także korespondujący z wcześniejszym, lipcowym rozkazem Naczelnego Dowództwa — o udziale 3 dywizji piechoty w żniwach. Z 7 Kołobrzeskiego pp uczestniczyło do dnia 30 lipca (potem liczby się zwiększyły) 111 ludzi, 54 konie, 24 wozy konne.

Ba, toż moja 2 kompania fizylierów żniwowała w podlubelskim Dominowie. Tu także przemawiałem jako „przedstawiciel Wojska Polskiego". I — wyznam szczerze — niektóre autentyczne sceny z tych dożynek znalazły się potem w mojej pierwszej powieści „Pożegnania i powroty".

„Lubliniana" obejmują wszakże i inne jednostki Wojska Polskiego, tu jesienią roku 1944 formowane, stąd dyslokowane na front. Jak się rzekło, grzebię się obecnie w szoferackim temacie. A właśnie w Lublinie stacjonował 1 pułk samochodowy, największa tego typu formacja. Kierowano doń młodych chłopców, którzy ukończyli „szkołę jazdy Pawluka", a także mających już dawniej prawa jazdy.

Migają mi raz po raz znajome nazwiska. W tym pułku służył mój, nieżyjący dziś brat Szczepan. Z nim — jego szkolni koledzy Stanisław Kulczyński i Jerzy Cynke.

Ba, toż pamiętam dobrze Jurka! Mibo, że był starszy ode mnie o cztery lata — wspólnie pasjonowaliśmy się lotnictwem i książkami Janusza Meissnera. Próbowałem, gdym tylko poszedł do wojska, spełnić swój sen o lataniu. Nie powiódł się. Zostałem piechurem i wcale tego nie żałuję.

O Jurku Cynke — dowiedziałem się teraz, z dokumentów.

29 listopada 1944 roku szef Oddziału Uzupełnień, ppłk Agiewicz, prosi dowódcę 1 pułku samochodowego o wyrażenie zgody na przeniesienie do szkoły podchorążych lotnictwa szer. Cynke Jerzego i szer. Pokornego Andrzeja... „z uwagi na specjalne uzdolnienia w linii lotnictwa oraz mających praktykę lotniczą i stosownie do rozkazu Szefa Mobilizacji".

No, no — cmokałem — aleś umiał zaczarować! Gdzieś Ty, Jurku, tę praktykę lotniczą zdobył?

Widać jednak dowódca 1 pułku samochodowego był twardy, bo jeszcze i w grudniu na liście żołdu (szeregowiec — 15 złotych, potem, od stycznia 30 zł dodatku frontowego) figuruje szeregowiec Jerzy Cynke.

Wiele tu ciekawego lubelskiego materiału; może warto będzie doń wrócić przy innej okazji. Wspomnę jeszcze o jednym epizodzie, ze zrozumiałych względów, także nieco zaszyfrowanym.

W archiwaliach natknąłem się na rozpaczliwe pismo żony żołnierza tego pułku, powiedzmy Z. Jest ciężarna, męża wcielono do wojska nieoczekiwanie, był w „szkole jazdy Pawluka", do wojska już nie powinien iść, kto będzie utrzymywał ją i dziecko... Rzeczywiście, niełatwa musiała być sytuacja tej kobiety w głodującym Lublinie. Rozumiem jej żal i dramatyczne wprost wołanie.

Ale przecież każdy z nas miał, jeśli nie żonę — to matkę, ojca, siostrę, brata i każde rozstanie, zwłaszcza na wojnę — było trudne. Bez mobilizacji, bez powszechnego polskiego udziału, bez naszego kołobrzeskiego, odrzańskiego i berlińskiego szturmu nie mogła się ta wojna zakończyć. W naszym, polskim pojęciu. Kobiecie więc grzecznie, ale odmownie odpowiedziano.

Na szczęście znam relację jej męża, już prawie współczesną.

— Panie, byłem i ja na wojnie. Swoje zrobiłem. Mam czyste sumienie.

Jak wszyscy ci, którzy na apel ZPP w Związku Radzieckim, na apel PKWN, PPR już na Lubelszczyźnie i w Rzeszowskiem zaciągali się, zgodnie ze starą żołnierską piosenką — do polskiego wojska. Chłopców zaciągają, chłopców zaciągają...

„PAN DO PANA"

I jeszcze jedna refleksja — o Rosjanach, o oficerach radzieckich w Wojsku Polskim. Skierowano ich w latach wojny (liczby się nieco różnią) do nas około 16—17 tysięcy. Głównie na stanowiska dowódcze, techniczne. Byli wśród nich ludzie z polskim rodowodem, ale także i autentyczni — zwłaszcza w okresie gdy „puchło" Wojsko Polskie, rozrastało się z każdym miesiącem — Rosjanie, Białorusini, Ormianie, Ukraińcy czy Uzbecy.

I zawsze ogarnia mnie na przemian uśmiech i wzruszenie, gdy czytam niektóre rozkazy w dość nieporadnej polszczyźnie, gdy poprzez dokumenty dojrzeć mogę ową chęć najlepszego służenia w Wojsku Polskim. Odkomenderowani poznawali polskie tradycje, starali się im podporządkować.

Znów z szoferskiego tematu.

14 listopada 1944 roku Szef Zaopatrzenia Artyleryjskiego Dowództwa Artylerii WP i szef 3-go Oddziału (nazwisko rosyjskie) tak oto pisali do dowódcy 1 pułku samochodowego (Rosjanina):

„Otrzymane przez Pana opakowanie uzbrojenia do tej pory nie zostało zwrócone do magazynu. Polecam wolne opakowania natychmiast zwrócić do oddziału 55 Magazynu w Lublinie. Zwracam uwagę, że w wypadku nie zwrócenia opakowań, wartość takowych zostanie przypisana Panu do zwrotu".

Dwa zamaszyste podpisy ludzi, którzy meldując się w swojej armii używali na codzień słowa „towarzysz", ale którym powiedziano, że w Wojsku Polskim obowiązującą formułą jest „obywatel".

Skoro jednak słyszeli, że w Lublinie mówi się „pan", „panu" — natychmiast dostosowali się do tej typowo polskiej tradycji. I „pan" pisał list do „pana".

Jeszcze chyba bardziej wymagający w stosunku do swoich radzieckich kolegów okazał się dowódca 1 pułku samochodowego, który — proszę zwrócić uwagę na daty — w dniu 26 listopada 1944 roku, rozkazał: — „posiąść język polski".

I tak: jego zastępcy, pomocnicy i szefowie służb — do 15 stycznia 1945;

dowódcy batalionów, ich zastępcy — szefowie sztabów — do 30 stycznia 1945 roku;

dowódcy kompanii, ich zastępcy, dowódcy plutonów — do 25 lutego 1945.

Tak rozkazywał ppłk. Isajew. Jego następca, płk Emilian Chriapin, w dniu 14 stycznia 1945 przypominał, że wszyscy oficerowie Rosjanie muszą uczęszczać na lekcje języka polskiego w poniedziałki, wtorki i piątki od 18.00 do 20.00. „Za opuszczenie lekcji i spóźnienie, karać będę surowo".

No proszę — pan będzie panów karał!

Proszę wybaczyć żartobliwy ton na zakończenie tych refleksji, sądzę jednak, że o żołnierskim braterstwie broni nie zawsze trzeba mówić tylko poważnie. Na froncie — też bywał humor, śmiech i koleżeńska kpina.

Alojzy Sroga

POD PARAGRAFEM

Bonanza maleńka taka

Co może robić kawalerka od samego rana na wsi lubelskiej, kiedy jest ciepła wiosna, słoneczko przygrzewa, a w kraju święto państwowe? Można wpaść do sklepu na piwko? Można. Można wpaść do klubu „Ruchu"? Można, ale po co? Stare gazety przeglądać, bo o tej porze jeszcze „Bonanza" w TV nie leci? Więc lepiej do sklepu. I oni się spotkali 1 maja. Młodszy, 18-letni — z tej wioski. Starszy 20-letni — z sąsiedniej, jeden przystanek PKS. I tak się zaczęła ta historia, straszliwie monotonna, przerwana dwoma przestępstwami, które ją podrzucały. Taka leniwa wiejska bonanza, w naszym wydaniu.

Starszy przybył i postawił dwie flaszki ropy, czyli „Jot-23", oraz dwie konserwy. Załatwili to w pobliskim lesie. We dwu, cały czas we dwu. Potem znów sklep GS, jedna ropa, ciastka, las i zasnęli, budząc się około południa. Idą do sąsiadów młodszego, u których za obiad i 100 zł wywożą trzy fury gnoju na pole. Trzy ropy, las i sen. Budzą się około 21.00. Słońce dawno zaszło, w lesie robi się zimno, forsy resztki, pić się chce, a sklep zamknięty.

Więc przyszło im do głowy, że można ten sklepik otworzyć prętem stalowym, który ściągnęli z jakiegoś podwórka. Do sklepu się wchodzi przez drewnianą przybudówkę. Wpierw poszła kłódka od drzwi przybudówki, ale za tymi drzwiami jeszcze jedne drzwi, z potężną sztabą, bezpośrednio do sklepu. Temu już nie dali rady, ale dali radę oknu i kracie okiennej, którą po wyłamaniu postawili porządnie obok, na pryzmie kamienia polnego. Ropy w garść, „Sporty" w garść, pies gdzieś niedaleko szarpnął się na łańcuchu, zaszczekał, ale oni już w lesie i ropy w ruch. Popili, podumali i wrócili do sklepu, bo tam była metalowa kaseta z utargiem, przytwierdzona do deski pod ladą. Wyrwali kasetę razem z deską, wzięli jeszcze jakieś ropy za pasek od spodni i chyłkiem do opuszczonej chałupy na skraju wioski. Tam rozbili kasetę, w której było — jak twierdzą — 2000 zł, a jak twierdzi sprzedawca 5000 zł. Następnie las, ropy i sen.

Jest 2 maja. Budzą się rankiem zziębnięci, wsiadają w PKS i do pobliskiej wioski. Sklep GS, po dwa piwa i po dwie oranżady na miejscu, bo kac. Już jest lepiej i pieniądz jest, więc dwie ropy, śledź marynowany w zalewie octowej za 9,50 zł i w krzaki za sklepem. Załatwiwszy sprawę, spotykają starego, który z miejscowej piekarni ma własnym zaprzęgiem przewieźć chleb w okolicę. Proponują mu pomoc, ale wpierw do sklepu. Po piwie machnęli, nabyli pół litra zwykłej, makrelę w pomidorach za 14 zł, nóż gerlach nierdzewny, kieliszek 100-gramowy. Załadowali we trzech chleby i razem w drogę.

W miejscu przeznaczenia wyładowali chleby, stary jeszcze coś marudził, a młodzi nabyli dwie ropy ogórki konserwowe i herbatniki, ponadto mieli owe pół litra i makrelę. I wracają we trzech na wozie starego. Ale zanim dojechali, trzeba było się zatrzymać i pod drzewem przydrożnym ukrzepić nowo zawartą znajomość. Zużyli połówkę, zużyli dwie ropy, pod herbatniki, pod makrelę i jadą dalej, zostały im tylko ogórki konserwowe. Ale już są tam, skąd we trzech wyruszyli, pod sklepem. Do starego mówią teraz „wujku". Sprzedawczyni zeznała potem: „Mężczyźni ci wyglądali na zmęczonych, zaś ich ubrania były w nieładzie, gumiaki, utytłane..." W sklepie machnęli po dwa piwa, nabyli sześć rop, śledzie marynowane w zalewie octowej, pół kilo cukierków czekoladowych, znów machnęli po piwie i wyszli, zostawiwszy na ladzie zapomniane ogórki konserwowe.

Siedzą w chałupie starego, a towarzyszy im tylko jego trzyletnia wnuczka. Dwie ropy już minęły jak sen, tak samo śledź marynowany w wiadomej zalewie. I wtedy starszy chłopak wyciąga nóż gerlach nierdzewny z ostrzem długości 8 cm, przykłada te 8 cm do piersi starego i powiada: dawaj forsę, bo zap...! Stary się zaśmiał. Wtedy chłopcy najpierw go w głowę, a potem pod fleki i stary padł. Wyciągają mu portfel, a stąd dwie pięćsetki, i zabierają portmonetkę ze 160 zł. Do tego portfela i tej portmonetki nie będą się potem chcieli przyznać, zwalając jeden na drugiego. Do sklepu przyznają się bez trudu, bo okraść sklep to nie grzech, ale okraść człowieka pojedyńczego to raczej niehonornie. Załatwić sklep to klasa-cwaniactwo. Ale na razie stary jest załatwiony, choć nie do końca. Więc chłopcy w rękę te cztery pozostałe ropy i do lasu...

Tymczasem, kiedy oni dopiero zaczyhali swoją epopeję ze starym, w wiosce młodszego chłopaka była już grupa operacyjno-dochodzeniowa KP MO. Słuchają sklepowego, ustalają, że włamania mogli dokonać właśnie ci dwaj, bo przecież ludzie widzieli ich pijanych od samego rana, a młodszy nie nocował w domu i dotąd go nie ma. Równocześnie radiofalówką przychodzi informacja o wydarzeniach ze starym i rysopisy chłopców. Więc już niewiele mają szans, ten młodszy, 18-letni, szczupły blondynek, odziany w taniutki texas, i ten starszy, 20-letni, krępy brunet z wąsikiem i falującym włosem, ubrany w ciemny roboczy drelich i gumiaki.

Ale na razie obaj jeszcze w lesie, zrobili jedną ropę, przespali się do 17.00. Poszli pod pobliski opuszczony młyn, gdzie zrobili trzy pozostałe ropy. Nocowali w starej chałupie, już w wiosce starszego, dokąd jeszcze nie dotarła milicja, matka starszego dała im śniadanie, ale zaraz potem — trzeciego już maja — czmychnęli na widok milicyjnych mundurów. W las. Potem znów były przez parę dni ropy i sny, sny i ropy, które im się będą plątać w zeznaniach, morze ropy po 23 zł flaszka. W końcu wrócili, każdy do swojej wioski, oddalonej jedna od drugiej tylko przystankiem PKS. I dalej sprawa stała się prosta. Młodszego sam ojciec przyprowadził na posterunek, starszego aresztowano zaraz potem.

Stary przeżył choć wytrzeźwiał na dobre i przyszedł do siebie dopiero w szpitalu wojewódzkim. Został mu kac, pusty portfel i słoik od śledzi marynowanych w zalewie octowej, także pusty, na którym zostały odciski linii papilarnych rąk obu młodych jego przyjaciół. Odnaleziono rozbitą kasetkę, nóż gerlach nierdzewny, kieliszek 100-gramowy, butelki po winie owocowym białym słodkim. Całe muzeum kryminologicznych dowodów.

Opinia miejscowej milicji o starszym chłopaku: od dawna ma skłonność do nadużywania alkoholu, podejrzany o drobne kradzieże (ryb z prywatnych stawów, jajek podbieranych z kurników, królików, części od motocykli na zabawach, gołębi), włóczył się z podejrzanego autoramentu kawalerką. Opinia o młodszym: popijał, włóczył się, „lubił robić na niecnotę jako młodociany". Obaj skończyli tylko szkołę podstawową, z trudem. Pracowali krótko, starszy samowolnie opuścił pracę na budowie, młodszego wywalił prywatny przedsiębiorca budowlany. Siedzieli w domu, niby pomagali rodzicom w gospodarce, rodzice biedni (1,07 ha i 3,10 ha, przychodowość roczna gospodarstw: 5920 zł i 16 550 zł). Obaj dotąd niekarani.

27 czerwca zamknięto śledztwo, 14 września zapadł wyrok sądu. Dla starszego kara łączna 7 lat pozbawienia wolności i 5000 zł grzywny, dla młodszego — analogicznie 6 lat i 4000 zł. Wyrok surowy. Ale rozbój jest rozbojem, a górne zagrożenie w kodeksie karnym to w takim przypadku kara śmierci. Pozostaje tylko cichy żal, iż tych dwu nie dało się uratować, że już są po drugiej stronie, tak nagle. Jacy oni będą, kiedy wyjdą z więzienia? I pozostaje jeszcze pytanie, co ma robić kawalerka na wsi, kiedy jest święto, wokół ciepła wiosna, słoneczko przygrzewa? Do klubu „Ruchu" wstąpić?

POM

Zanim umilkną oklaski teatralne

Maria Bechczyc - Rudnicka

PIĘKNĄ, wzruszającą uroczystość przyniósł Lublinowi tegoroczny wrzesień na otwarcie nowego sezonu w Teatrze im. J. Osterwy: Jubileusz 50-lecia pracy aktorskiej Aleksandra Aleksego. Obchód ten, w którym nie zbrakło należnych zasłużonemu Artyście wysokich odznaczeń oraz wypowiedzi podkreślających wagę jego dorobku na scenie polskiej — łączył w wybitnie szczęśliwy sposób to, co powinno być oficjalnie uroczyste, z serdecznym ciepłem święta rodzinnego, istotnie realizując wspólnotę Aktora z widzami.

Często nadarzała mi się miła sposobność pisania o sukcesach Aleksego w poszczególnych rolach pierwszoplanowych, jako też o całokształcie jego osiągnięć twórczych, niedawny wywiad „Kameny" (p. nr 19) przywołuje na pamięć kolejne etapy kariery artystycznej Jubilata. Dziś pozwolę sobie jeszcze raz złożyć Mu najszczersze życzenie dalszego długiego sojuszu z zaślubioną przed pół wiekiem sztuką i, usiłując w miarę mych sił wzorować się na Jego pracowitości, zajmę się już „rocznym" omówieniem spektaklu „Rewizora", w którym Jubilat kreował postać Horodniczego.

Najsampierw warto więc odnotować z satysfakcją fakt wystawienia arcydzieła Gogola na lubelskiej scenie dramatycznej po bez mała pięćdziesięcioletniej jego tutaj absencji (z kronik opracowanych przez nieodżałowanego prof. St. Dąbrowskiego wynika, że kilka ostatnich przedstawień komedii oglądał Lublin w czerwcu r. 1925). Doprawdy trudno mi pojąć, czemu podczas gdy większość teatrów Polski Ludowej skwapliwie sięgała po „Rewizora" jako po cenną pozycję repertuarową, nie udało mi się, ani w charakterze doradcy-ochotnika, ani z tytułu funkcji b. kierownika literackiego Teatru Osterwy, namówić żadnej z poprzednich jego dyrekcji do wystawienia tej znakomitej sztuki. No, ale nie omraczajmy pogodnych, jeszcze „poświątecznych" dni gorzkim rozpamiętywaniem, skoro jest wreszcie, jest „Rewizor" na lubelskiej scenie! Dank za to stokrotny obecnemu jej kierownictwu i Jubilatowi, Aleksandrowi Aleksemu.

Wyreżyserował arcydzieło komedię sam dyrektor Kazimierz Braun, dobierając obsadę bardzo starannie. Ponieważ „Rewizor" należy do sztuk, których walory wymagają nade wszystko dobrego przekazu aktorskiego, tedy od słów uznania dla aktorów występujących w lubelskiej inscenizacji zaczynam moje zwięzłe, z konieczności, jej omówienie.

A więc pierwsze słowo, z natury rzeczy — dla Aleksandra Aleksego. Już nie dlatego, że jest Jubilatem (zapomnijmy na chwilkę o tym!), lecz primo dlatego, że jest Aleksandrem Aleksym, aktorem o wielkim diapazonie, aktorem utrzymującym w każdej roli żywy kontakt z widownią, i secundo dlatego oczywiście, że jako Horodniczy znajduje się w epicentrum „trzęsienia ziemi", które przyjazd domniemanego rewizora wywołał w zasytej deskami mieścinie lat trzydziestych XIX-wiecznej Rosji.

Wyznaję, że gdy „od zarania" zachodziła mowa o jubileuszu, gorąco zalecałam Aleksemu postać Kapitana Nuta (marzyłam o „Żeglarzu" Szaniawskiego w pieczołowitej oprawie jubileuszowej). Aleksy wybrał Antona Antonowicza Skwoznik-Dmuchanowskiego. Otrzymaliśmy zatem odmianę Horodniczego na swój sposób „ludzkiego", pozornie miękkiego, „ciepłego" (jak ludzki i ciepły z gruntu jest sam Aktor), niemal naiwnie posługującego się twardą pięścią Dzierżymordy. Interpretacja ta idzie w kierunku słusznej na ogół współczesnej zasady oświetlania negatywnych postaci z różnych stron, by promień światła padł niekiedy i na jakąś ich zaletę bądź uwydatnił słabość, która powoduje występek. Chodzi jednak przy takiej tendencji o to, by widzowie nie wybaczyli, powiedzmy, owemu „ludzkiemu" możnowładcy „terenowemu" jego „grzeszków". Ale gdy się ma do czynienia z „Rewizorem" — próżne obawy: tu na zbytnią pobłażliwość nie pozwoli zwycięski ŚMIECH Gogola, ta *„uczciwa, szlachetna postać, przez cały czas działająca w sztuce"*.

Streszczając się, mogę powiedzieć: dobrze uczynił Aleksander Aleksy, „debiutant" w roli Horodniczego, bo nigdy przedtem jej nie grał (ośmieliłam się użyć słowa „debiutant", gdyż świadczy o trwałej młodości Aleksego), naprawdę uczynił dobrze, iż dzielnie się zmierzył z tą potężną rolą, której brakowało w jego bogatym dorobku artystycznym.

Ogromnie odpowiedzialne i zaszczytne zadanie włożył Teatr Osterwy na młode barki Piotra Suchory powierzając mu postać wiercipięty Chlestakowa. Śledzę rozwój talentu Suchory od czasu jego występów w studenckim „Drenie 59" i „śledztwo" moje przynosi mi coraz większe zadowolenie. Nie obrażę aktora pochlebstwami: jego Chlestakow wydał mi się trochę jeszcze niewyciemiony. Świetnemu pod względem dynamiki, upodobnionemu do rozluźnionego w stawach pajaca, brakuje mu nieco autentycznego żywiołu w mitomanii, graniczącej z fantazją twórczą. Może nie zdołał inteligentny aktor zetrzeć ze swej twarzy tej wrodzonej „umysłowości", która się tylko przywidziała w Chlestakowie wystraszonemu Bobczyńskiemu? Bo ja wiem? To są imponderabilia kunsztu aktorskiego. Lecz za poszczególne chwile „euforii" Chlestakowa — duże brawo.

Wielki aplauz należy się również Marii Szczechównie za kunsztowne stworzenie postaci małżonki Horodniczego, przekwitającej prowincjonalnej damy z waporami i fumami, tudzież Barbarze Koziarskiej, która grając córuchnę państwa Skwoznik-Dmuchanowskich potrafiła uzyskać doskonałe wręcz wcielenie głupoty z pretensjami do sukcesów romansowych. Dialogi Szczechówny i Koziarskiej wszędzie tam, gdzie nie przeszkadza im zbytnie „rozbieganie" w stylu lekkich komedii zachodnioeuropejskich, składają się na znakomity żeński duet.

Interesujący duet męski tworzą: Paweł Nowisz i Piotr Wysocki, respective — Dobczyński i Bobczyński. Też nieco przedynamizowani w myśl koncepcji inscenizacyjnej, podobają się jednak po części dzięki ich niebanalnemu skontrastowaniu przez reżysera: bardziej potulny (i uległy?) Dobczyński (Nowisz), infantylnie (czy nie zanadto?) pobudliwy, niemal histeryczny Bobczyński (Wysocki).

W grupce urzędników: wizytator szkół Chłopow (Stanisław Olejarnik), sędzia Lapkin-Tiapkin (Kazimierz Siedlecki), kurator instytucji filantropijnych Ziemlanika (Marian Drozdowski), naczelnik poczty Szpiekin (Henryk Sobiechart) — szczerze mówiąc, najlepiej wypadł Chłopow, którego Olejarnik gra z nieomylnym wyczuciem miary, na pograniczu realizmu komediowego i groteski, ale groteski tej gogolowskiej, będącej, jak to się ktoś kiedyś gdzieś wyraził „w służbie realizmu". Lapkin-Tiapkin jest interpretowany nieco za flegmatycznie, Ziemlanika natomiast — nakreślony zbyt grubą kreską. Trafniej chyba prezentuje Sobiechart ciekawskiego lekkoducha naczelnika poczty. Maria Antonowna mogła się w nim podkochiwać (ale „metaforycznie" permanentną gotowość dłoni do przyjęcia łapówek należałoby raczej scedować na inną postać).

Mikołaj Gogol — „Rewizor". Od prawej ku lewej: Aleksander Aleksy (Horodniczy), Piotr Wysocki (Bobczyński) i Piotr Suchora (Chlestakow).

Fot. CAF

Pierwszoplanowa rola służącego Chlestakowa — Osipa, zdaje się, niezupełnie odpowiada dyspozycjom Edwina Petrykata, którego doceniliśmy w innych rolach. Maska chłopka-roztropka, szlifującego ze swym panem stołeczne bruki, nie dość szczelnie przylega do twarzy aktora.

Poza tym grają w „Rewizorze": Tadeusz Kuduk (komisarz policji Uchowiertow), Ryszard Kolaszyński (Dzierżymorda), Stanisław Stojko (kupiec Abdulin), Stefania Cybulska (Awdotia), Jacek Dzieślewicz (służący zajazdu). Na niewątpliwe brawko zasługują epizodziki Cybulskiej i Kuduka.

W krótkich odstępach czasu widziałam ostatnio trzy inscenizacje „Rewizora": krakowską, warszawską i lubelską. Dużo sporów wywołała inscenizacja Hanuszkiewicza (moim zdaniem, znakomita). Osobiście uważałabym za bardziej kontrowersyjną inscenizację Kazimierza Brauna. Przechyla się ona chyba najwięcej na stronę groteski, a z realistyczną komedią satyryczną jest jak z biciem: ani delikwenta, ani widza nie ma sensu doprowadzać do znieczulenia. Niepowściągliwa szarża unicestwia śmiech. Oceniając spektakl sumarycznie, powiedziałabym, że jest nierówny: część pierwsza, na skutek usadowienia urzędników przy stoliku karcianym (chwyt gaszący satyrę słowną), bardzo się dłuży, część druga, przeładowana pomysłami sytuacyjnymi też na swój sposób nie dopuszcza do głosu Gogola, bo pomysły inscenizatora, choć tu i ówdzie przednie, są przeważnie z innej poetyki.

Jest sporo detali, o których chciałabym podyskutować z dyr. K. Braunem, ale na razie poprzestaję, jako przyjaciel teatru, na podziękowaniu za wystawienie „Rewizora" i pokazanie aktorów w pełnowartościowych rolach.

Scenografia Teresy Targońskiej, z jej „siermiężnymi" manekinami, jak zwykle, interesująca.

— PROSZĘ — powiedziała pani Marta. Chłopiec wyłuskał z pudełka srebrną kulę, wewnątrz, w soku słodkim jak miłość, pływało maleńkie drewniane serce. Pestka. Wypluł ją na łyżeczkę i odłożył na spodek. Pani Marta obserwowała opaloną rękę. Kiedy spojrzał, odwróciła roztargnione oczy. Było gorąco. Mimo otwartych okien, przez które wpadały głosy dzieci bawiących się na podwórzu w lipcowy dzień.

Nos pani Marty pocił się pod warstewką pudru, którym retuszowała swoje lekkie popołudnie; puder szkodził jednak skórze łatwo przetłuszczającej. Lekarze twierdzili, że podłożem nadmiernego pocenia jest nerwica, spowodowana trybem życia. — Błędne koło — myślała pani Marta. Była krytykiem teatralnym, jej mąż wyjechał do Kanady, i nie zanosiło się na szybki powrót.

Jasnowłosa, szczupła, z pewnością wzbudzała przyjemne myśli u niejednego pana. Trzymała się świetnie, a nie tak świetnie, by nie doceniać obecności chłopca.

— Przeczytałam pańską sztukę, jest interesująca. Jednak muszę pana ostrzec, że droga do Sukcesu bywa ciernista i trzeba płacić niekiedy wysoką cenę.

— Mogę zapłacić nawet krwią — powiedział.

Pani Marta była ubawiona, bo cena nie musiała być aż tak duża... Wyszła do kuchni, bo imbryk zawiadamiał, że woda już jest. Przy okazji spryskała pachy dezodorantem, więc, kiedy wróciła, do poprzedniego zapachu doszedł nowy.

Stolik był niski i uda pani Marty zapowiadały się coraz lepiej. Aby pokazać mu swój księgozbiór przeszła do sypialni, a chłopiec podążył za nią, nie chcąc stracić tego, co mówiła. Tapczan osłaniały skrzydła regałów, w istocie był to pokój do pracy jej męża, kontynuującego tę pracę gdzie indziej, a na biurku stała jego maszyna do pisania, świetnej marki, którą chłopiec obejrzał szybko i z zazdrością. Głosy dzieci zagłuszały panią Martę mówiącą cicho, z krótkim namysłem, zawsze to, co trzeba. Więc zamknęła okno. Mięśnie łydek ukazały się nieoczekiwanie. Grała w tenisa, ale nie mówiła mu o tym. Na razie stwierdziła, że ma ochotę wynająć pokój na lato, gdzieś na wsi.

— Może w M.?

— M. mi odpowiada — powiedziała pani Marta i nie było wiadomo, czy zależy jej na tym. Chłopiec wstał i pocałował łasiczkowatą dłoń.

— Życzę powodzenia — stwierdziła pani Marta. Znów nie wiedział: kpi, czy mówi poważnie? Taki już pani Marta miała sposób mówienia.

Pogoda tej niedzieli była super. Kiedy jechał autobusem w górę rzeki, ludzie uciekali z miasta. Jedni na rowerach, inni w Mercedesach. Rowery skręcały na brudne plaże, auta pruły dalej. Pół godziny jazdy autobusem od miasta droga skręcała pod ostrym kątem i oddalała się od rzeki. Chłopiec wysiadł i poszedł żużlową aleją, wzdłuż której biegły troskliwie kolczaste ogrodzenia otulone różami i akacją. Wśród sosen stały wille grubych ryb. Zapach róż dopingowany słońcem; sosny i wiatr od rzeki tworzyły klimat wiejski, zapewne odpowiadający pani Marcie w zupełności. Miasto zostało na horyzoncie w sinej chmurze spalin. Chłopiec skierował się do najmniej okazałego domu, przy którym stał tani samochód, wydało mu się, że ci, którzy nim jeżdżą, mogą wynająć pokój na lato.

Kobieta w fartuchu pielęgnująca kwiaty poznała chłopca, który codziennie przechodził obok jej domu. Wiedziała, co on robi i ponieważ sama była kiedyś przystojną kobietą, a teraz miała córkę, która chodziła na plażę, gdzie był ratownikiem, uśmiechnęła się i poprawiła włosy, ciągle grube i brązowe jak kasztan.

— Chciałbym wynająć pokój na lato.

— Mogę go panu wynająć.

— Nie chodzi o mnie, tylko o pewną panią, która jest krytykiem teatralnym.

— Ach, tak — kobieta przestała się uśmiechać. Lubiła chłopców, kiedy byli dzicy, naiwni i niezaradni, a nie lubiła, kiedy już byli sprytni, gładcy i kupieni. Wróciła do swoich kwiatów.

— Pokój należy do mojego syna, który przyjeżdża na niedziele, i wydaje się, że nie będzie odpowiadał tej pani.

— Zapytam o to — powiedział.

W umówionym miejscu, przy kamieniu drogowym, znalazł klucz i poszedł przez równinę do zielonej budy. Zdjął kłódkę i otworzył drzwi. W środku znajdowała się prycza z desek przy-

kryta kocem, wiadro na wodę, koło ratownicze, rzutka, wiosła i podłoga do łodzi opartej z tyłu o budę i przywiązanej łańcuchem, żeby jej nie ukradli. Rozebrał się, wziął koc i rzutkę ratunkową i poszedł nad wodę, która podczas przyboru podchodziła pod drzwi budy, ale teraz cofnęła się odsłaniając plażę, piasek pokryty miejscami mułem, patykami i muszelkami.

Kolejno ciągnął na wodę czerwone, blaszane boje powiązane łańcuchem i przyczepione do kamieni — kotwic, aż uniosły się jak balony w prądzie rzeki. Na plaży były tylko dwie dziewczyny, których nie znał, brunetka i blondynka. Siedziały przy drzewie, które przyniosła powódź i które przypominało gigantycznego krokodyla. Patrzyły w jego stronę i przyjemnie mu było ciągnąć łańcuchy, napinać muskuły i pokonywać bieg rzeki. Zbadał dno kilka metrów za wyznaczonym kąpieliskiem. Pięć metrów od dolnej linii zaczynała się głębia, o której wiedział, i tam należało pilnować na wypadek, gdyby zniosło kogoś za kąpielisko. Rzeka rozlewała się szeroko i o płynięciu w górę nie było mowy. Była dzika, wielka i czysta, a uregulowana i brudna stawała się za miastem.

Odbił się lekko od dna i rzeka porwała go. Płynął szybko wzdłuż piaskowego nawisu, który rzeka wciąż podmywała i połykała aż do miejsca, gdzie prąd załamywał się i odchodził na drugą stronę. Były tam wiry widoczne

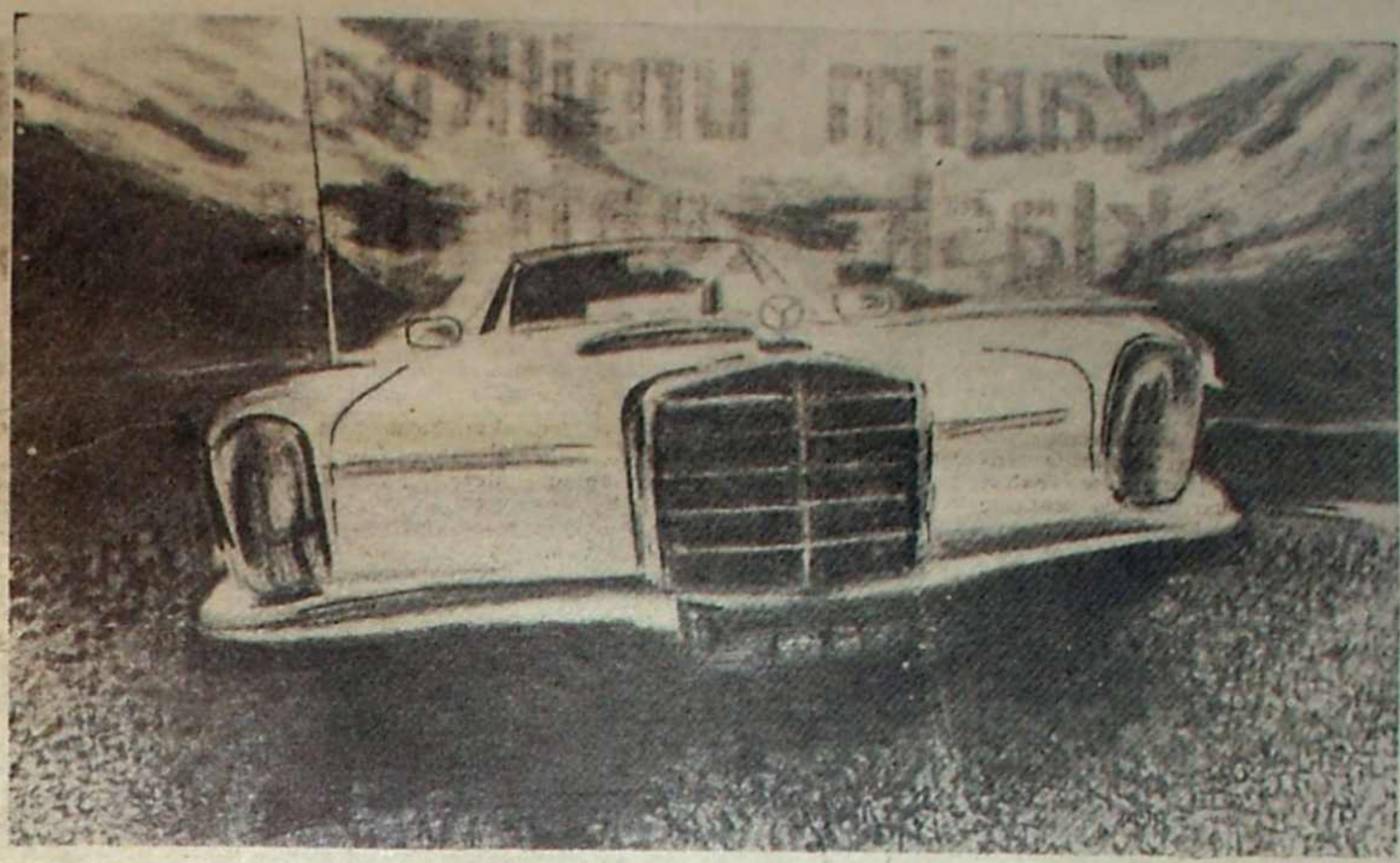

Rys. L. Dumański

BIAŁY MERCEDES

Marek Żenni

z brzegu, o czym pamiętał, więc wyszedł, chociaż rzeka zachęcała go i niosła miękko. W parę chwil przebył około pół kilometra i teraz musiał brnąć w gorącym piasku albo w błocie zabliźnionym skorupą, bo cała ta plaża należała do rzeki. Wrócił do budy i zamknął ją na kłódkę. Nie zrobił tego przedtem, spodziewając się, że o dziesiątej przyjdzie drugi ratownik. Obok zielonej budy przystanęło kilka samochodów, jakby gdzie indziej nie było miejsca na równinie. Panie i panowie wysiedli i zaczęli rozkładać aluminiowe krzesła, albo nadmuchiwali gumowe materace, a niektórzy niezwłocznie przystąpili do pucowania swoich pojazdów. Chłopiec wiedział, że gdy skończą pucowanie, pójdą się wykąpać.

Zobaczył z daleka, że jedna z dziewczyn weszła do wody i płynie w dół rzeki, tak jak on płynął. Ruszała się pewnie, ale postarał się, biegnąc przez plażę, dogonić ją, bo mogła nie wiedzieć o tamtych wirach. Z bliska okazało się, że to ta niższa, ciemnowłosa. Kazał jej wyjść z wody i razem wrócili do blondynki, która do wody w ogóle nie wchodziła, ponieważ kiedy była mała uczono ją pływać, ale nie tak, jak należało.

— To jest Wiktor — powiedziała brunetka.

— To jestem ja — powiedział chłopiec. Blondynka nie uśmiechnęła się.

— Elżbieta — bąknęła i wróciła do czytania „Filmu".

Chłopiec położył się na kocu dziewczyn i patrzył na wodę między płaszczyzną piasku i wygięciem drzewa. Słyszał warkot motocykla, który narastał, ale nie odwrócił głowy.

— Mówiłem ci, do cholery, żebyś nie zamykał budy! — krzyknął Witek, który nadjechał ze Stefanem.

— Zamknij się! — odpowiedział chłopiec i rzucił mu klucz na piasek. Nie chciano mu się patrzeć na tamtych dwóch.

— Żeby to było ostatni raz! — stwierdził Witek. Wyglądał groźnie z brodą, którą zapuścił niedawno, i w kasku na głowie. Odjechali obsypując dziewczyny piaskiem.

— Cham! — syknęła brunetka.

Elżbieta patrzyła za tamtymi aż dojechali do budy. Nic nie powiedziała, ponieważ nie miała przednich zębów i oszczędzała się.

— Tak to z nimi jest — myślał chłopiec. — Głośne gadanie i hełm na głowie załatwiają sprawę.

Wstał i poszedł do kąpieliska. Jeden z pucowaczy siedział na jego kocu.

— To mój koc! — powiedział chłopiec.

— Przepraszam.

Pucowacz zabrał swoją paczkę papierosów i wyniósł się. Nie zapomniał o papierosach.

Witek ze Stefanem nadchodzili niosąc blaszaną tubę i koło ratownicze, które było ciężkie i nieprzydatne, jednak wyglądało ładnie oparte o bosak. Witek wszedł do rzeki po kolana i powiedział parę uwag do ludzi na kąpielisku. Chłopiec zostawił koc i skierował się w stronę zielonej budy. Kiedy z niej wyszedł ubrany, Witek i Stefan siedzieli z dziewczynami. Cztery głowy pochylały się ku sobie i wydawało się, że grają w karty.

W alei milionerów róże szalały, a ich zapach mieszał się ze spiralnymi głosami świerszczy. Chłopiec szedł boso, czując gorący beton chodnika pod nogami, zapach róż i sosnowej żywicy. Minął go biały Mercedes wolno płynący po wybojach. Głowy siedzących odwróciły się, jakby był egzotycznym zwierzęciem lub dzikusem w stroju rytualnym. Pomachał im ręką wesoło i pogardliwie. Z samochodu wysunęły się rączki, błysnęły tłuste pierścionki.

Doszedł do autostrady, po której biały Mercedes dawno odleciał za horyzont. Autobusem wrócił do miasta, przesiadł się w tramwaj i wreszcie dotarł do mieszkania, które wynajmował od starego malarza, łysego i pomarszczonego jak Picasso. Stary zjawiał się w mieszkaniu raz na tydzień, przeważnie w niedzielę po południu, zjadał kolację, składającą się z razowego chleba, mleka i sera, i zasypiał na swojej kanapce, która miała połamane sprężyny, więc kiedy leżał kolana podchodziły mu pod brodę, a plecy opierał na podłodze. Oprócz kanapki w pokoju znajdowały się trzy antyczne fotele, równie niebezpieczne w użyciu. Chłopiec znał już opowieść o stracie wszystkich mebli starego, który po latach samotności spotkał upragnioną kobietę, ożenił się, a po trzech miesiącach okazało się, że ta pani ma innego pana i zgodnie podzielali na mieszkanie starego jak pompa ssąca. Zwykle przed zaśnięciem ostrzegał chłopca przed wszystkimi kobietami.

Chłopiec otworzył drzwi i podszedł do okna, które stary, oczywiście, zamknął mimo upału. Otworzył je i zobaczył swojego brata siedzącego na ławce w cieniu drzewa. Zawołał go, ale Piotr nie usłyszał. Wtedy zbiegł na podwórze, ale zanim potrząsnął brata delikatnie za ramię, postarał się zapamiętać to popołudnie, słońce zmieszane z liśćmi drzew, dzieci bawiące się w piaskownicy i Piotra, który spał z brodą opartą na piersi i z dłońmi w kieszeniach, jakby zmarznięty. Chłopiec wiedział, że brat ma za sobą nocną jazdę pociągiem z Wybrzeża i że na pewno jest głodny, ale kiedy go obudził Piotr chciał pochodzić po mieście i zobaczyć to, co można było ciekawego zobaczyć, ponieważ wieczorem musiał wracać do Gdyni. Chłopiec wiedział, że brat jest wytrzymały i dzielny, ale widział też jego przekrwione oczy i bruzdy koło ust, dlatego zaprowadził go do mieszkania, cieszac się, że starego nie ma. Wyciągnął to, co miał do jedzenia, a kiedy Piotr zjadł, a później położył się na kocu rozłożonym na kawałku płyty pilśniowej zamiast łóżka, wyszedł na miasto coś kupić. Gdy wrócił, Piotr, który już się obudził, czekał na niego. Wyszli na ulicę, którą wypełnił wieczór. W nerwowej, niebieskiej mgle błyszczały oczy, uśmiechały zęby, mrowiły auta.

— Piękne miasto — powiedział chłopiec. — I będę je miał.

— Fajne jest, ale żyć można gdziekolwiek.

— Tak. Ale lepiej jest jechać białym Mercedesem, niż iść piechotą.

— Nie — stwierdził Piotr. — Ważne jest Być, a do tego Mercedes nie jest konieczny.

Żółty, elektryczny pociąg wysunął się z tunelu. Tłum podróżnych zniknął w pneumatycznych drzwiach jakby wessany przez potężny odkurzacz.

— Będę je miał — myślał, kiedy pociąg unosił jego brata. — Obiecuję ci to!

Został sam na peronie. Miasto zapalało swoje okna, komórki w betonowych waflach, neony, latarnie.

W nocy zmieniła się pogoda. Burza przeszła nad miastem, a następnego dnia było chłodno i od czasu do czasu przelatywał drobny deszcz. Chłopiec zapakował żywność do plecaka i przeniósł się do zielonej budy, bo nikt tam nie przychodził, kiedy nie było pogody.

Uprał koszulę w rzece i powiesił ją na bosaku, żeby wyschła na wietrze. Rzeka była szara i już zaczynała się podnosić od deszczów, które spadły na południu kraju. Niosła gałęzie i liście przedwcześnie pożółkłe. Z domu, który był najmniej okazały i przy którym nie było psów ani kolczastych drutów, przyniósł wodę w wiadrze i zagotował na kocherze. Wypił herbatę, a później poszedł w dół rzeki i zbadał okolicę. Znalazł zapuszczony staw, gdzie zapewne były ryby. Nie miał wędki i nie lubił łapać ryb, dlatego ta sprawa go nie interesowała. W zdziczałym ogrodzie narwał zielonych śliwek, ponieważ miał ochotę na kompot. Minął starszego mężczyznę w zielonej furażerce pasącego dwa konie. Był to hrabia P., którego chłopiec znał z widzenia i wiedział, że stary mężczyzna naucza jazdy konnej. Ukłonił się, a stary skinął głową i uśmiechnął się uprzejmie, jak przystało na hrabiego. Jego brat był tym właściwym P. i mieszkał od dawna zagranicą w otoczeniu ukochanych przedmiotów wywiezionych z kraju. Ale stary trzymał się dobrze, miał te dwa konie i każdego ranka wyjeżdżał w dół rzeki, żeby zwierzęta odpoczęły po idiotycznej bieganinie w kółko.

Chłopiec wrócił do budy, bo deszcz nasilił się. Zdjął koszulę z bosaka i powiesił ją wewnątrz budy. Z podłogi łodzi zrobił sobie stół i ułożył na nim żywność z plecaka, do którego przybiegły mrówki. Przyczepił drzwi drutem, tak że pozostała szpara. Deszcz nie zalewał podłogi, a jednocześnie było świeże powietrze. Położył się na pryczy i nakrył kocem cały czas słysząc krople uderzające w papę dachu. Bardzo brakowało mu dziewczyny i białego Mercedesa.

Zasnął, a kiedy się obudził był wieczór, deszcz przestał padać, a do budy dolatywała muzyka. Wciągnął spodnie i buty i wyszedł zobaczyć, co to jest.

Pałac ambasadora był oświetlony, limuzyny zjeżdżały z drogi i przystawały pod drzewami, panie i panowie wysiadali i szli do stolików albo wirowali w białym kręgu, pod przezroczystym dachem. Muzyka przenikała liście drzew i ogrodzenia i słyszał ją siedząc na progu budy, bez koniecznego fraka.

W nocy przy budzie zatrzymał się samochód i chłopiec słyszał pijackie beki i piski dziewczyn. Niebo oczyściło się i świecił księżyc. Przez szparę w ścianie budy widział towarzystwo, które przyjechało białym Mercedesem.

Trzech facetów i trzy dziewczyny. Faceci byli grubi i ciemnowłosi i mówili językiem, którego nie rozumiał. Dziewczyny były krajowe i mówiły językiem, który rozumiał.

— To jest dupa, ty! — powiedziała jedna.

Faceci zaczęli gonić je po brzegu i ściągać im majtki. Potem włączyli radio i tańczyli w świetle reflektorów. Jeden z grubasów podszedł do budy i zwymiotował. Chłopiec nie poruszył się. Mężczyzna obszedł zieloną budę i pociągnął za uchylone drzwi. Wtedy chłopiec powiedział coś. Grubas pobiegł do samochodu i odjechał kawałek. Tamci dogonili go i wskoczyli do środka. Biały Mercedes, kołysząc się, odpłynął w noc milionerów.

Chłopiec wyszedł z budy i zasypał piaskiem ucztę grubasa, żeby nie śmierdziała. Rano poszedł po wodę a kobieta, którą pytał o mieszkanie, zobaczyła go przez okno i wyszła na podwórze.

— Jeśli pan chce, mogę wynająć ten pokój. Pan rozumie, pieniądze są potrzebne. — Była zakłopotana.

— W porządku. Czy mogę zatelefonować?

Kiedy pozwoliła, wszedł do domu i zadzwonił do pani Marty. Powiedział, że pokój jest i podał numer telefonu. Pani Marta ucieszyła się.

Potem wrócił do budy i zrobił sobie śniadanie. Gdy skończył jeść, spakował plecak i zamknął budę, a klucz schował tam, gdzie było umówione. Wrócił do miasta i napisał staremu wiadomość, że wyjeżdża. Był już koniec miesiąca i wygasała jego umowa o pracę. To znaczy mógł ją przedłużyć, ale nie zrobił tego.

Kamena str. 11

LOS KULTURY

Dokończenie ze st. 3

dzi o stosunek do kultury, szczególnie zaś do twórczości artystycznej, której formuła przekracza konwencjonalne wyobrażenia o sztuce.

Nie ma sensu wywlekać smutnych okoliczności upupienia sympozjum w Puławach, wspomnijmy tylko, że władze lubelskie jeszcze kilka miesięcy po zakończeniu spotkania wierzyły w jego kontynuację. „Dzięki współdziałaniu ze Związkami Zawodowymi i przemysłem doszedł do skutku plener plastyczny w puławskich „Azotach", pomyślany jako zbliżenie do środowiska robotniczego. Plener będzie kontynuowany w roku przyszłym" — stwierdza wspomniana „Informacja" Prezydium WRN.

Szamotanina, niepewność, co jest wartością, a co plewą, konwencjonalne wyobrażenia w zetknięciu z oszałamiającą rzeczywistością: niezrozumiałą, a więc obcą... Tymczasem w październiku ubiegłego roku Muzeum w Chełmie Lub. uroczyście otwiera galerię sztuki współczesnej, na pierwszy ogień proponując malarstwo stołecznego artysty, które bardzo jakieś erotyczne, wyzywające... Ludzie patrzą ze wstydem. Ale spora grupka pojawia się na wernisażu kolejnej ekspozycji... W tej chwili Muzeum w Chełmie ma liczną publiczność i, cienia przesady w tej opinii, należy do najciekawszych, najbardziej ambitnych placówek wystawienniczych w kraju! Oto rejestr wystaw, godny głośnej „Galerii Współczesnej" w Warszawie: Dobkowski, Wdowicki, Winiarski, Sosnowski, Przybylski, Borowski. Ostatnio w chełmskiej galerii wystawiał swoje malarstwo Alfred Lenica — artysta z satysfakcją wspomina rzeczowość dyskusji, która rozgorzała po otwarciu ekspozycji. A całą tę bezprecedensową historię zainicjował Zenon Stachira, kierownik Wydziału Kultury Prezydium PRN, który pozyskał dla wiadomej idei Kajetana Sosnowskiego, otrzymując następnie rzetelne wsparcie ze strony kierownika Muzeum, Ryszarda Patkowskiego.

Werbalne ustalenia, choćby najbardziej mądre, uwzględniające dzień dzisiejszy i przyszłość kultury na Lubelszczyźnie, nie kryją mocy sprawczych, nie są w stanie profilować życia. Ich wartość polega na uświadomieniu określonych potrzeb, nakreśleniu celów działania i zaproponowaniu metod, które do nich prowadzą. Jeśli wszyscy poważnie potraktujemy ten dokument, jeśli wszyscy zrozumiemy znaczenie kultury dla rozwoju społecznego, wysiłek, który włożono w opracowanie „Programu", nabierze sensu. W przeciwnym wypadku podzieli on los wielu innych elaboratów, grzecznie spoczywających na archiwalnych półkach. Aby do tego nie doszło, realizacji „Programu" musi towarzyszyć ciągła kontrola opinii publicznej oraz bardziej życzliwe spojrzenie na Lubelszczyznę ze strony Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Ireneusz J. Kamiński

Jadwiga Podbielska

* * *

Ażeby wejrzeć w dzień następny,
trzeba nam umrzeć w starej skórze,
utracić wszystko aż do kości,
umierać w sobie po kolei
aż do ostatniej chwili, do przedsionka.
Zostanie próg, przez który
już przepełznąć dosyć będzie.
I wielu wtedy się ogląda wstecz,
nie może dość napłakać się
nad martwym już zewłokiem.
Czy lepiej synem swoim być, czy sobą?
Mój syn to właśnie jestem ja najbardziej.
Za jaką tajemnicą wieczności
podąża nasza myśl, iskra czasu
nadmiernie uwikłana w jaskiniach
swoich przodków, strzeżonych ognisk?
I z każdym dniem, i coraz trudniej
wynurzać się z odwiecznych jezior.

LEON HALBAN

UCZONY I DZIAŁACZ SPOŁECZNY

Wojciech Szwarc

Roman Tokarczyk

W 80 rocznicę urodzin

We wrześniu b. r. minęła 80 rocznica urodzin Leona Halbana, uczonego i działacza społecznego przez wiele lat związanego z Lublinem. Swoim wkładem do nauki i aktywnością społeczną zasłużył sobie w pełni, aby przypomnieć najważniejsze koleje Jego drogi życiowej i główne tezy Jego dorobku naukowego.

Ojciec Leona — Alfred, profesor Uniwersytetu w Czerniowcach i we Lwowie, był wybitnym historykiem prawa. Matka — Zofia pochodziła ze znanej rodziny Spasowiczów opowiadającej się wówczas na rzecz panslawizmu. Syn — Leon po ukończeniu gimnazjum studiował na Wydziale Prawa Uniwersytetu Lwowskiego, a następnie w Grenoble i w Wiedniu.

W r. 1916 uzyskał doktorat w Uniwersytecie Lwowskim. Pracował kolejno w biurze prezydialnym Naczelnego Komitetu Narodowego w Wiedniu, Zarządzie Cywilnym Generalnego Gubernatorstwa w Lublinie, a po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, w Ministerstwie Opieki Społecznej, Banku Budowlanym i Komitecie Banków Państwowych.

Habilitował się w r. 1926 z prawa kanonicznego. Do wybuchu II wojny światowej pracował jako profesor Uniwersytetu Lwowskiego. W czasie wojny poważnie zachorował, z trudem unikając aresztowania przez Niemców. Po jej zakończeniu został zatrudniony w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, gdzie wykładał prawo kościelne, historię prawa na zachodzie Europy i historię ustroju Polski. Przez krótki okres był Dziekanem Wydziału Prawa KUL.

Po utworzeniu w r. 1949 Wydziału Prawa na UMCS prof. Halban objął katedrę powszechnej historii państwa i prawa, którą kierował aż do śmierci w r. 1950.

Jako działacz społeczny wiele inicjatywy i osobistych starań włożył w ożywienie działalności Lubelskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego. Pełniąc przez kilka kadencji funkcję prezesa inicjował zespołowe badania naukowe i zabiegał z powodzeniem o dotacje finansowe dla publikacji dorobku naukowego członków. Z dużą pasją popularyzował wiedzę historyczną o Lubelszczyźnie w formie okolicznościowych sesji naukowych oraz kół przyjaciół miast i regionów. Przez wiele lat był wiceprezesem Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego i wiceprezesem Lubelskiego Towarzystwa Naukowego. Będąc związany z różnego rodzaju akcjami charytatywnymi działał również w Związku Katolików „Caritas". Cieszył się dużym zaufaniem i sympatią studentów jako zawsze życzliwy doradca i przyjaciel oraz zasłużoną popularnością w środowiskach inteligenckich Lubelszczyzny.

Publikacje Leona Halbana dowodzą bogactwa Jego zainteresowań naukowych. Pokaźną grupę wśród nich stanowią opracowania związane tematycznie z doktryną i prawem kościelnym. W tym zakresie absorbowały Halbana przede wszystkim dwa problemy: wzajemne stosunki między państwem i Kościołem oraz zagadnienia społeczno-prawne.

Nie obce Mu były również inne zagadnienia, m. in. geneza i rozwój instytucji zapowiedzi małżeńskich w wiekach średnich, a ponadto walka ustawodawstwa kościelnego z lichwą. W swych badaniach nie pomijał i współczesnego Mu prawa kanonicznego. Posługiwał się w nich na ogół metodą historyczną, dzięki czemu prace te mają rozległe tło historyczne. Jako interesujący przykład powiązania problematyki z różnych epok mogą służyć Jego rozprawy na temat zwiększenia odpowiedzialności karnej w prawie kanonicznym z powodu wyższej pozycji społecznej winowajcy oraz dotyczące znaczenia nieznajomości prawa w kanonistyce.

Zainteresowania Halbana zmierzały także w kierunku problematyki społeczno-ekonomicznej. Zrodziły się one w toku praktyki zawodowej w administracji i bankowości. Bezpośrednią przyczyną podjęcia tej tematyki w artykułach opublikowanych na początku lat 20-tych była wzrastająca radykalizacja nastrojów społecznych w Europie podsycana przemianami rewolucyjnymi w Rosji.

W rozważaniach na temat celów i struktury Międzynarodowej Organizacji Pracy utworzonej w r. 1919 nie bez ironii pisał, że harmonię i idealizm motywów polepszenia bytu „sfer pracujących" psuło kilkakrotnie sygnalizowane w tekście Traktatu Wersalskiego niebezpieczeństwo rewolucji. W związku z tym mogły powstać uzasadnione wątpliwości, czym więcej kierowały się układające strony: bezinteresowną chęcią pomocy, czy też obawą przed przewrotami.

W artykule o zadaniach ustawodawstwa społecznego krytycznie ocenił ówczesną polską politykę w tej dziedzinie, zarzucając jej sprzeczności i brak stabilizacji, co paraliżowało w konsekwencji życie gospodarcze kraju. Jako zwolennik współpracy klas opartej na „produktywnej demokratycznej kooperacji" podkreślał jednocześnie, że bynajmniej nie występuje w obronie grup społecznych będących przeżytkiem mniej lub bardziej odległych epok. Podobne idee, ale przeniesione na grunt stosunków międzynarodowych, przyświecały Mu, gdy pisał o potrzebie przekształcenia ekonomii w „naukę gospodarstwa światowego". Postulował przy tym podjęcie badań nad możliwościami pokojowego współżycia państw na płaszczyźnie stosunków ekonomicznych.

Do tematyki tej, lecz już w aspekcie filozoficzno-etycznym, powrócił Halban w pracy „O jedności moralnej świata". Wyrażał w niej nadzieję pełnej unifikacji poglądów w zakresie moralności, nieodzownej w Jego przekonaniu dla dalszego bytu gatunku ludzkiego. Droga do tego prowadziła, jak twierdził, przez szczerość i prawdę w polityce oraz wymagała nie tylko bezstronności, lecz także odwagi cywilnej jednostek i narodów.

Studia nad bardzo szeroko ujętymi podstawami ideologicznymi narodowego socjalizmu stanowią kolejny główny nurt twórczości naukowej Leona Halbana. Zainteresowania te narodziły się przed II wojną w obliczu wzbierającej fali brunatnego rasizmu. Wzywał do stawienia jej czoła przestrzegając przed zgubnymi skutkami dla ludzkości. Gdy było już za późno z niemałą dozą goryczy pisał po wojnie: „jednym ze źródeł katastrofy stało się lekceważenie przyczyn różnych objawów życia społecznego oparte na zapatrywaniu, że dociekania tego typu są dobre dla uczonych teoretyków a nie dla ludzi praktycznych".

Jego pierwsze publikacje demaskujące hitleryzm wywołały serię niewybrednych ataków na Autora w prasie hitlerowskiej. W pracach tych Halban wyjaśniał genezę faszyzmu, zawartą w nim apologię barbarzyństwa, powrót do etyki „Nibelungów", negowanie wartości chrześcijaństwa, pogardę dla intelektualistów, hołdowanie irracjonalizmowi i wiarę w predestynację narodu niemieckiego do panowania nad światem. Zastanawiał się w jaki sposób naród Goethego, Schillera, Herdera, Kanta i Humboldtów mógł dojść do mistyki „krwi i żelaza". Zwracał uwagę, że powierzchowność sądu i skłonność do upraszczania problematyki narodowego socjalizmu stały się jednym z ważnych powodów jego gwałtownej kariery w Niemczech. Swoje rozważania na powyższe tematy rozszerzył i usystematyzował w dalszych pracach napisanych już po wojnie.

Odrębną grupę publikacji tworzą podejmowane w latach powojennych przeglądy badań w zakresie interesujących Halbana dziedzin, wynajdujące istniejące jeszcze luki i wskazujące nowe zadania. I tak np. poza uwagami o naukowym i praktycznym znaczeniu prawa kościelnego pisał także o małej przydatności popularnych w XVIII i XIX w. teorii dla nowoczesnego ujęcia zjawiska religijności. Jako historyk prawa upatrywał możliwości poszerzenia wiedzy źródłowej w zapoznanej nieco dziedzinie etnografii prawniczej. W związku z tym sygnalizował potrzebę podjęcia badań zwyczajów prawnych, „żywego prawa" i określał ich znaczenie dla ustawodawcy, wymiaru sprawiedliwości i administracji państwowej.

Profesor Halban był przeciwny nazbyt wąsko pojętej specjalizacji w naukach społecznych, które uprawiał. Orientował się bowiem dobrze, że wąskospecjalistyczne spojrzenie nie oddaje złożoności zjawisk i procesów społecznych. Mimo że był kształcony w duchu burżuazyjnych wzorców metodologicznych doceniał twórczą rolę czynników ekonomicznych w strukturze społecznej. Wiedział, jak bardzo niepełną wartość mają analizy prawa wyizolowane z szerszego kontekstu społecznego. Starał się więc przedstawić je w możliwie najszerszym ujęciu, poznawać praktyczne zastosowanie reguł prawnych i reakcje społeczne z nimi związane. Nie należał do zwolenników negowania znaczenia materialistycznego pojmowania dziejów.

Halban zajmował się nie tylko zdrowym organizmem społecznym. Wiele uwagi poświęcał także zjawiskom społecznej patologii. Nie ulegał przy tym „presji" autorytetów naukowych i nie powielał utartych schematów. Chronił Go przed tym wysoko rozwinięty zmysł obserwacji i umiejętność wyciągania samodzielnych wniosków. Według wyznawanej przez niego zasady, rzetelna praca naukowa powinna być nieczuła na zmienne hasła i mody.

Był zdeklarowanym pacyfistą. Swój ideał etyczny budował głównie na założeniach współczesnej doktryny chrześcijańskiej. Czerpał zeń i stosował we własnym życiu postulaty realistycznego humanitaryzmu. Jego stosunek do nauki i instytucji Kościoła nacechowany był rzeczowością i dążeniem do obiektywizmu.

W ostatnim okresie życia profesora Halbana pojawiły się w jego pracach wyraźne akcenty świadczące o stopniowych przemianach światopoglądu. Do wniosku takiego skłania np. lektura referatu wygłoszonego z okazji 410-lecia dzieła Kopernika „O obrotach sfer niebieskich". Ostatnia publikacja Jego życia zawiera myśl, że laicyzacja to „nieodzowny warunek dla postępu społecznego i nauki".

polemiki

Kmicic współczesny

Bohdan Królikowski

FILM Bohdana Poręby stał się pretekstem do wznowienia rozważań na temat: „Hubal"-człowiek, „Hubal"-historia, „Hubal" -legenda. Pretekstem do postawienia raz jeszcze pytania: kim był mjr Henryk Dobrzański?

Gorliwy tropiciel śladów „Hubala" i „hubalczyków", M. Derecki, przypomniał w 18 n-rze „Kameny" zasadnicze fakty z życia Majora, jednakże konkluzja, jaką z nich wysnuł, a którą zresztą powtórzył za swoją książką, wymaga paru korektur i d-powiedzeń. Derecki (nie tylko zresztą on) nazywa Dobrzańskiego bankrutem, człowiekiem „rozgoryczonym i głęboko urażonym". Spytajmy zatem, co dało podstawę do takich określeń, co dopuściło możliwość takich domysłów?

Wbrew popularnemu powiedzeniu, że każdy żołnierz nosi w plecaku marszałkowską buławę, w wojsku II Rzeczypospolitej nie roztaczano przed młodymi oficerami obietnic rychłego awansu ni perspektyw generalskich szlifów. Panowała opinia, że oficer, który osiągnął stopień kapitana czy rotmistrza, ma wystarczający powód do radości. Istotnie, korpus oficerski ówczesnego WP można by nazwać kapitańskim, tak wielu oficerów w tym stopniu było wówczas w szeregach. Sam znałem oficerów, którzy z trzema gwiazdkami „chodzili" po kilkanaście lat, dostając „belki" majora przed emeryturą albo i nigdy. I to oficerów z bojową przeszłością, odznaczanych za waleczność. Po czterdziestce odchodzili oni na ogół z linii, dostawali funkcje administracyjne lub tyłowe. Niektórzy przechodzili do Straży Granicznej lub do służby cywilnej. Czy byli bankrutami? Chyba nie. Po prostu nie mieli pułkownikowskich kwalifikacji. Bywały, oczywiście, względy uboczne, ale gdzie i kiedy ich nie ma?

Henryk Dobrzański został rotmistrzem wcześnie, w 25 roku życia i — wbrew temu, co pisze Derecki — na majorostwo nie czekał zbyt długo. Dostał je przecież j u ż po pięciu latach. Ale na tym koniec awansów przyszłego „Hubala". Stanął on w miejscu i przez lat 12 drugiej gwiazdki nie dostał. Było i takich wielu. Dość tu przypomnieć majora Sucharskiego, stawianego często — i słusznie — obok „Hubala", ale nigdy nie nazywanego bankrutem. Stopień majora był w ówczesnym wojsku uważany za wysoki. Zostać majorem było raczej trudno (stosunek kapitanów do majorów był w latach trzydziestych mniej więcej jak trzy do jednego), a jeszcze trudniej było awansować dalej...

Zapytajmy teraz, dlaczego mjr Dobrzański nie awansował przez lat 12? Powtórzmy opinię, że nie był typem oficera służby stałej w czasie pokoju. Powtórzmy ją bez ironii, więcej: uznajmy ją za słuszną, nie tracąc przez to sympatii ani szacunku do „Hubala". Czy on sam zresztą tak bardzo przejmował się tą opinią? Patrzę teraz na jego fotografię; przedstawia człowieka o wesołych, pogodnych oczach, wcale nie zgorzkniałego. Świadkowie twierdzą zgodnie, że Major prawie do końca nie tracił pogody, że miał wesołe oczy. Mimo że nie został pułkownikiem Mimo to!

Przypomnijmy, że oficerskie przeszkolenie Dobrzańskiego w 1918 r. było raczej pospieszne, a wolno sądzić, że i doszkolenie w Grudziądzu nie bardzo utrwaliło wiedzę taktyczną tego bezsprzecznie bojowego i odważnego oficera (innym przecież Virtuti nie dawano). Znający majora Dobrzańskiego wspominają, że lubił wypić, zagrać w karty, że nie stronił od płci odmiennej. Nie będziemy go za to potępiać; było to zresztą bardzo ułańskie. Te jednak cechy w połączeniu z rogatą duszą, z zamiłowaniem do sportu, z faktem nieukończenia Wyższej Szkoły Wojennej były przyczyną owego zastoju w awansach.

Pokojowe wojsko potrzebuje instruktorów, wychowawców i administratorów. Bohaterowie potrzebni są w walce. A „Hubal" potrafił być właśnie bohaterem, nie umiał za to dostosować się do pokojowych, garnizonowych wymogów. Mimo zatem legionowego pochodzenia, mimo bojowej przeszłości naturalną koleją rzeczy zaczął dostawać funkcje meliniowe. Dodać zresztą trzeba, że stanowisko dowódcy szwadronu zapasowego i funkcja kwatermistrza pułku nie były uważane za tak znowu niskie.

Czy major Henryk Dobrzański byłby dobrym dowódcą pułku kawalerii w kampanii wrześniowej? — to oczywiście sfera domysłów. Był to kawalerzysta rasowy, ale w pojęciu raczej tradycyjnym, a taktyka walki kawalerii wymagała już w tym czasie innego spojrzenia. Byłby za to „Hubal" świetnym dowódcą kawalerii dywizyjnej, tzw. krakusów. Takich właśnie, bojowych, niezbyt starych majorów wyznaczano na te stanowiska. Dowódca kawalerii dywizyjnej (szwadronu rozpoznawczego, samodzielnego, silniejszego od wchodzących w skład pułków jazdy) musiał być właśnie zagończykiem, oficerem z temperamentem i fantazją, ryzykantem i „szaloną pałką" — takim jak „Hubal".

Padło tu słowo zagończyk, które w dotychczasowej literaturze o „Hubalu" pałęta się wstydliwie obok słowa watażka, obok nazwiska Kmicic. A przecież te właśnie słowa — w najlepszym ich znaczeniu — wraz z nazwiskiem Sienkiewiczowskiego bohatera trzeba tu przywołać i być może uznać za najbardziej właściwe w charakterystyce majora Dobrzańskiego. Był z pewnością zagończykiem — śmiałym i brawurowym kawalerzystą; był watażką — dowódcą ze skłonnościami do dyktatury, trzymającym podwładnych krótko. Był wreszcie — wypisz, wymaluj — Kmicicem w każdym calu. Bo czyż nie zebrał jak Kmicic „partii" i nie podchodził z nią wroga, gdy inni opuścili ręce i złożyli broń? Tylko że wróg nie był Chowańskim, czego nasz dwudziestowieczny Kmicic nie brał pod uwagę. Bo przecież Chowański nie mścił się na bezbronnej ludności, nie rozrywał granatami kobiet i dzieci.

Teraz kolej na pytanie o motywy decyzji Dobrzańskiego-Kmicica. Były one chyba jasne: nie złożyć broni na przekór wszystkim, pokazać, że kapitulacji nie było i nie będzie, przetrwać i dalej walczyć. Oczywiście decyzja taka, rozpatrywana dziś, traci sens, ale wówczas, gdy jeszcze liczono na aliantów, gdy powtarzano sobie: „słoneczko wyżej — Sikorski bliżej" — wówczas „Hubalowa" decyzja nie była bynajmniej samobójcza. Potem, gdy okoliczności zadały kłam nadziejom, została już tylko chęć demonstracji, może podświadoma potrzeba termopilskiego gestu?

Pierwszym piewcą czynów tego Kmicica naszych czasów był Wańkowicz i on to nadał Hubalowskiej legendzie te właśnie wymiary: Sienkiewiczowskie i tradycyjne, szlacheckie i ułańskie — a zresztą czyż nie te wymiary ma historia Wydzielonego Oddziału WP? Dlatego może tak trudno nam dziś wyłączyć Wańkowiczowskie widzenie losów „Hubala", szlachcica i ułana, jednego z ostatnich zagończyków w naszym kraju.

Derecki zakończył swój artykuł słowami: „Major Dobrzański... wchodzi do historii i mądrej legendy." Określenie „mądra legenda" bardzo tu pasuje, zwłaszcza że Derecki pytał w swej książce: „Kiedy wreszcie major Henryk Dobrzański zdoła uwolnić się od swojej legendy?" Skoro zatem legenda nabrała właściwych wymiarów, skoro stała się mądrą legendą, nie trzeba już wzywać do zerwania z nią. Czas też skończyć z legendą o Dobrzańskim -„bankrucie", skrzywdzonym i upośledzonym oficerze, o niewykorzystanym człowieku. Nazwijmy go ostatnim zagończykiem, wrześniowym watażką, postawmy go w naszych wyobrażeniach obok Kmicica. Nie straci na tym ani mjr Dobrzański, ani historia.

Nie straci na tym i film Bohdana Poręby, który osobiście uważam za udany.

Warto było jednak dać w zakończeniu jakiś optymistyczny akcent; choćby pokazać „hubalczyków" na ostatniej zbiórce, przechodzących po śmierci Majora do dalszej walki, do konspiracji. To, oczywiście, byłby już tylko epilog, ale i epilog bywa potrzebny w sztuce i w historii!

Co mówią o „Hubalu"?

Dokończenie ze str. 1

bal, ale oni nie przeżyli wojny, więc chyba nie reagują tak, jak nasze pokolenie... Wie pan, do czasu obejrzenia filmu Poręby nie przepadałam za Filipskim, lecz teraz zmieniłam o nim zdanie. Gra świetnie! Nikt inny nie mógłby występować w roli Hubala.

Z e n o n K w i a t k o w s k i, uczeń czwartej klasy Liceum Ogólnokształcącego: — Słuszność postępowania Hubala nie budzi wątpliwości. Był wielki i mądry w swoim postanowieniu kontynuowania walki właściwie w samotności, bo dawał przykład innym. Muszę przyznać, że do tej pory niewiele wiedziałem o Hubalu i jego żołnierzach. Tak, wiem, że Wańkowicz napisał coś na ten temat, ale nie czytałem, zresztą nie przepadam za prozą tego autora.

A n d r z e j K o m o r o w s k i, zast. dyrektora LPBM: — Nie widziałem jeszcze filmu, lecz sprawą majora Hubala interesuję się od dawna. Znam książki Wańkowicza i Dereckiego, poświęcone tej kontrowersyjnej postaci, byłem na sztuce opartej na publikacji Dereckiego, wystawionej przez lubelski teatr imienia Osterwy, więc zrozumiałe, że film szczególnie mnie intryguje. Tymczasem czytam recenzje i wypowiedzi na jego temat, aby z pełnym „oporządzeniem" wybrać się do kina. Wie pan, co znaczy pojęcie „wolnego czasu" w przedsiębiorstwie budowlanym?!

S t a n i s ł a w a C h o d k o w s k a, zast. kierownika sklepu „Ars Chrystiana". — Nie byłam. Przeżyłam wojnę i okupację, nie mam dziś nerwów, aby drugi raz to oglądać, choćby na ekranie. Słyszałam tylko, że film jest świetny, znakomicie wyreżyserowany. Ale iść do kina po to, żeby przeszłość z grobu wstała?!

A l e k s a n d e r I w a ń s k i, mechanik samochodowy: — To było wojsko! Wyćwiczone, karne, wierzące swemu dowódcy. Na film zaciągnęła mnie córka, która lubi kino, a o Hubalu też się sporo naczytała. Dobry film, trzyma w napięciu, przybliża wojnę, szkoda jednak, że tak strasznie się kończy. No niby taka była prawda, ale film to film, reżyser ma prawo coś upiększyć. Tak jak pisarz. Czy jest gdzieś pomnik majora? Zasłużył.

W ł o d z i m i e r z S i t k o, rektor WSI: — Film sprawił na mnie bardzo dobre wrażenie: muszę przyznać, że ostatnio stroniłem od obrazów o zbliżonej tematyce. „Hubal" przypomina o patriotycznych obowiązkach każdego z nas w sposób niezwykle sugestywny. Nikt chyba nie ma złudzeń, że decyzje majora miały głęboki sens patriotyczny, że nie wynikały z jakiejś niebezpiecznej na wojnie skłonności do szarżowania dla wiwatu. Filipski — tak, to znakomita kreacja.

W i e s ł a w K r y ń s k i, dyrektor „Estrady": — Jest to film szalenie p o l s k i w charakterze, a przez to oryginalny, niewiele takich obrazów proponuje się publiczności. Hubal jawi się jako człowiek o szerokich horyzontach myślowych, zdolny do realistycznej oceny politycznej wydarzeń września. Przecież to on, było nie było, sanacyjny oficer, zastanawia się, czy właśnie nie rząd powinien odpowiedzieć za klęskę. Znam dobrze Porębę, z prawdziwą satysfakcją — jako widz „Hubala" i kolega reżysera — gratulowałem mu wybitnego dzieła.

T a d e u s z M ą c z k a, kierownik lecznicy dla zwierząt: — Widziałem tylko reklamówki „Hubala" w telewizji, ale to wystarczyło, aby zachęcić mnie do obejrzenia całego filmu. Wybieram się w najbliższych dniach.

E l ż b i e t a W i ś n i e w s k a nauczycielka liceum ogólnokształcącego: — Od dawna interesuję się dziejami majora Dobrzańskiego i jego oddziału, na co wpłynęło zapewne moje pochodzenie: urodziłam się na Kielecczyźnie, nie tak znów daleko od rejonów, w których operował Hubal. Jeśli chodzi o film to najbardziej utkwiła mi w pamięci scena, w której ksiądz pociesza majora, wstrząśniętego wiadomością o egzekucji w Skłobach. Hubal nie był watażką, szukającym sławy za cenę śmierci ludności cywilnej, mordowanej przez hitlerowców w odwecie za jego akcje. Miał świadomość konsekwencji swego działania, ale słusznie mniemał, że jedna z nich ma wartość nadrzędną, która usprawiedliwia inne, związane z bandyckim pogromem mieszkańców wsi przez Niemców. Wiedział, że walka jego oddziału symbolizuje Polskę walczącą. I przez to był postacią tragiczną... Stosunkowo niedawno czytałem „Tropem ludzi majora Hubala" Mirosława Dereckiego i dostrzegłam istotną zbieżność między widzeniem postaci Henryka Dobrzańskiego, przedstawionym w książce, a niektórymi partiami filmu Poręby.

A d a m N a t a n e k, dyrektor Filharmonii Lubelskiej: — Znakomity film, na szczęście temat nie został owinięty w westernową atmosferę, choć można było ulec takiej pokusie. Powiedziałbym, że film został zrobiony taktownie i bez ukrywania istotnych treści prawdy historycznej. „Hubal" okazał się życiową kreacją Ryszarda Filipskiego — obok teatru jednego aktora tego twórcy.

J a n K a n i a, geodeta: — Po raz pierwszy zrozumiałem w pełni, co oznacza pojęcie „odpowiedzialności zbiorowej" w wydaniu hitlerowskim. Poza tym wyniosłem z filmu inną naukę: że najbardziej osaczony człowiek ma prawo i obowiązek walki z wrogiem, że walka ta w ogólnym rozrachunku nie jest beznadziejna. Hubal zginął, ale czyn jego przeszedł w piękną legendę, która kierowała do walki z Niemcami wszystkich Polaków, która dziś umacnia naszą godność narodową. Dlaczego przez wiele lat karmiono nas filmami o klęsce, skoro wojna zakończyła się naszym zwycięstwem?

O l g i e r d O l s z e w s k i, architekt wojewódzki: — Film przyjmowałem z punktu widzenia patrioty, wszystko inne wydało mi się mało ważne, choć pod względem formalnym nic „Hubalowi" nie mógłbym także zarzucić. Na poetycką opowieść o dziejach majora Dobrzańskiego można tylko patrzeć po polsku, albowiem traktuje ona o sprawach najważniejszych dla naszego narodu. Tak, film nie odstępuje, moim zdaniem, od prawdy historycznej, aczkolwiek samo rozwiązanie końcowej sekwencji wzbudza we mnie opory. Bo patrzę na film p o p o l s k u.

•

Wypowiedź mgr. inż. arch. O. Olszewskiego przychodzi nam uznać za zgodną z redakcyjnym komentarzem do ankiety.

Opr. W. J.

kultura 1973

Zmarli

● 69-letni Pablo Neruda — właściwe nazwisko Neftali Ricardo Reyes Besualto, największy współczesny poeta Ameryki Łacińskiej, członek KP Chile i Światowej Rady Pokoju. W 1953 był laureatem Międzynarodowej Leninowskiej Nagrody Pokoju. W 1971 roku otrzymał literacką Nagrodę Nobla. W latach 1950 i 1972 przebywał w Polsce. Jego „Pieśń powszechna" jest wielką epopeją walki wyzwoleńczej i społecznej narodów Ameryki.

Literatura

● Nagrody „Miesięcznika Literackiego" za rok 1973 otrzymali: Mieczysław Porębski za książkę „Ikonosfera", Jerzy Topolski za „Świat bez historii" oraz Zbigniew Osiński za „Teatr Dionizosa".

● W Warszawskim Muzeum Literatury eksponowana jest wystawa pod hasłem „Inspiracja twórcza". Liczne, zaskakująco różne eksponaty!

Teatr

● W grudniu rozpocznie działalność Teatr Wielki Polskiego Radia. Co dwa miesiące przedstawi on jedno z arcydzieł dramatu polskiego lub światowego. Na inaugurację wybrano „Dwa teatry" J. Szaniawskiego, w następnej kolejności usłyszymy m. in. „Fantazego" J. Słowackiego, „Kordiana i chama" L. Kruczkowskiego, „Kupca" M. Reja oraz „Dziady" A. Mickiewicza.

● Reżyser radziecki, Piotr Fomienko, przygotowuje we Wrocławiu sztukę Aleksego Arbuzowa „Ten miły stary dom", która w listopadzie zostanie pokazana w Katowicach na Festiwalu Sztuk Radzieckich.

● Teatr w Gnieźnie wystawił prapremierę sztuki słowackiego pisarza Oswalda Zahradnika pt. „Solo na kuranty" w przekładzie Jerzego Pieśniarowicza.

● 80-tysięczny już Płock będzie wreszcie miał własny teatr. Powstanie tam stała filia Teatru Ziemi Mazowieckiej, zatrudniająca 18 aktorów.

Sztuka

● W poznańskim Pałacu Kultury ekspozowana jest Wystawa Wojskowej Amatorskiej Twórczości Plastycznej, a w tamtejszym Muzeum Historii Ruchu Robotniczego — wystawa malarstwa, grafiki, rzeźby, medalierstwa i plakatów pt. „Motywy wojskowe w sztuce". Jednocześnie Dom Wojska Polskiego ogłosił konkurs rysunkowy dla dzieci i młodzieży na temat tradycji i dnia dzisiejszego LWP.

● 500 eksponatów z 53 krajów eksponowano w Muzeum Plakatu w Wilanowie na wystawie plakatów o tematyce turystycznej.

● W galerii poznańskiego BWA wystawiono 68 płócien, wybranych z 300 prac, nadesłanych na konkurs im. Jana Spychalskiego, zmarłego przed 27 laty wybitnego malarza. Pierwszej nagrody nie przyznano, cztery drugie zdobyli T. Brzozowski z Zakopanego, Wł. Stelmaszczyk z Łodzi, Al. Kozyrski z Warszawy i E. Kierska z Krakowa.

● Ponad 300 tkanin artystycznych zgłoszono na pierwsze ogólnopolskie Targi Tkaniny Artystycznej, które odbędą się 15 października w Łodzi.

● W Jeleniej Górze otwarto pierwsze w kraju muzeum szkła artystycznego.

● W jednym z budynków starego Gdańska organizuje się Międzynarodowa Galeria Ceramiki.

● Nad „morzem bieszczadzkim", czyli w Solinie, zakończył się IV międzynarodowy plener malarski, w którym uczestniczyło 35 artystów z 6 krajów.

● Na międzynarodowym Biennale ilustracji książkowej w Bratysławie Zbigniew Rychlicki za ilustracje do książki L. F. Bauma „Czarownik ze Szmaragdowego Grodu" otrzymał jeden ze złotych medali.

● W stolicy DRW otwarto wystawę prac plastyków, przeważnie żołnierzy Frontu Wyzwolenia Narodowego, zamieszkałych na terenach wyzwolonych Wietnamu Południowego.

Muzyka

● Po siedmiu latach, jak sam przyznaje, Witold Rudziński ukończył pracę nad operą według powieści Reymonta „Chłopi". Jej prapremiera na scenie Teatru Wielkiego w Warszawie odbędzie się w czerwcu 1974 roku na 30-lecie PRL.

● Zakończył się XVII Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień" z udziałem wybitnych artystów polskich i zagranicznych. Równolegle odbywała się „Warszawska Jesień Poezji", w której uczestniczyło 100 twórców z 8 krajów.

● Opera Wrocławska wystawiła słynny balet romantyczny Adolfa Adama — „Giselle". Choreografię opracowała baletmistrz teatru operowego w Kazaniu — Dina Aripowa.

Film i telewizja

● Przedstawiciele ponad 20 krajów — reżyserzy, pisarze, realizatorzy i krytycy — wezmą udział w międzynarodowym sympozjum na temat teatru telewizji na świecie, jego repertuaru i możliwości technicznych. Sympozjum odbędzie się w Warszawie pod patronatem UNESCO w dniach 7—10 października.

● 250 pedagogów z całego kraju uczestniczyło w ogólnopolskim seminarium na temat roli filmu oświatowego w wychowaniu młodzieży, które odbyło się w Gdańsku.

● „Mosfilm" przygotowuje dwie komedie muzyczne: „Żyli trzej kawalerowie" (na podstawie komedii Dychawicznego „Podróż poślubna") oraz „Ta wesoła planeta" J. Saakowa i W. Cwietkowa.

● Marco Ferrei, twórca głośnego filmu „Wielkie żarcie", kręci w halach paryskich „western w zupie cebulowej" — „Custer"; w roli głównej M. Mastroianni.

● Telewizja NRF przygotowuje 12-odcinkowy serial o życiu i twórczości Johanna W. Goethego, oparty na listach i wspomnieniach współczesnych poecie ludzi.

Różne

● 23 września odbyła się w Szczecinie inauguracja roku kulturalnego 1973/74. Obecny był m. in. minister Kultury i Sztuki Stanisław Wroński.

● W Szczecinie zakończyła się IV ogólnopolska „Giełda programów" klubów i domów kultury. Zaprezentowano 50 różnych programów — głównymi motywami były 30-lecie Ludowego Wojska Polskiego oraz zbliżająca się 30 rocznica PRL.

● W Zielonej Górze dobiega końca budowa wielkiej, nowoczesnej Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej i Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej.

● Dopiero teraz rząd włoski zaaprobował opracowany przez specjalistów plan ratowania bezcennych zabytków Wenecji przed niszczącym wpływem wód Adriatyku.

● W Związku Radzieckim utworzono Wszechzwiązkową Agencję Praw Autorskich — organizację społeczną, której celem jest ochrona praw autorów radzieckich i zagranicznych. Jak wiadomo, ZSRR podpisał niedawno międzynarodową konwencję w tej sprawie.

● W ub. sezonie w teatrach nowojorskiego Broadwayu wystawiono 37 sztuk i musicali, w które zainwestowano 23 mln dolarów. Łączny deficyt przekroczył 5 mln dolarów.

Lubliniana

● Pod koniec września zakończył się w Kazimierzu międzynarodowy plener plastyczny, w którym uczestniczyło 22 artystów-malarzy z Czechosłowacji, Francji, Jugosławii, NRD, Polski, Węgier i Związku Radzieckiego. Podobne spotkania mają odbywać się co roku.

● Na XI krajowym Zjeździe Sprawozdawczo-Wyborczym Towarzystwa Opieki nad Majdankiem ustalono m. in. program imprez i działań związany z 30-leciem wyzwolenia Majdanka. Przewodniczącym zarządu głównego został ponownie Zygmunt Ładkowski z Warszawy.

● Wraz z nowym sezonem do zespołu aktorskiego Teatru im. J. Osterwy weszło troje młodych aktorów: Anna Baranowska, Mieczysław Ostroróg i Andrzej Wiśniewski oraz tegoroczni absolwenci PWST w Łodzi i Krakowie — Jacek Dzisiewicz i Jerzy Szozda.

● Jedną z I nagród na festiwalu w Płocku zdobył zespół estradowy lubelskiego „Ruchu" za program „Ballada kowbojska" Stanisława Jaskuły.

● Na trzytygodniowe tournee zagraniczne — do połowy października — wyjechał Teatr Lalki i Aktora im. J. Andersena. Zespół występuje na Węgrzech i w Jugosławii.

● Pod koniec Lubelskiego Września Muzycznego w Chatce Żaka oraz w chełmskim Domu Kultury wystąpiła Wielka Orkiestra Symfoniczna z Sofii.

noty i notki

■ Mimo że wolne tereny budowlane w śródmieściu Lublina są na wagę złota, wciąż lekkomyślnie nimi gospodarujemy. Oto na zwolnionym przy ul. Lipowej placu ma powstać supresam. Ale będzie to tylko tak zwany supersam, bo budynek ma być parterowy. Na całym świecie tego rodzaju placówki liczą po kilka pięter, lokuje się tam różne punkty usługowe — ale nas stać na parterowe kramy. A że potem znów będziemy narzekali na dotkliwy brak sklepów w śródmieściu, to co? Nic...

■ Jeszcze w lipcu usiłowałem przez lubelskie biura podróży — Orbis i Polres — kupić dwa miejsca sypialne lub kuszetki) do Mangalii w Rumunii. Okazało się to niemożliwe, oba biura zgodnie odpowiedziały, że bilety na wskazany przeze mnie dzień i następne są już sprzedane. Uparłem się jednak i po różnych staraniach w Warszawie bilety na ten dzień dostałem. Potem przez dwie doby ze zdumieniem patrzyłem na 8 (osiem!) miejsc, które były przez całą drogę wolne w owym rzekomo całkowicie zajętym wagonie.

■ Czyżby coś zaczynało się zmieniać w światku naszej rozrywki? Woj. Przedsiębiorstwo Imprez Artystycznych w Lublinie organizuje kurs dokształcający dla przyszłych solistów estrady, co zdaje się sugerować, że zamierza wydać trochę grosza na zbożny cel uczenia kogoś śpiewania lub grania, a także tańczenia. Na uwagę zasługuje jeszcze fakt, że od kandydatów na kurs żąda się zaświadczenia poradni foniatrycznej, nie żąda się natomiast znajomości nut. Ale może i na to przyjdzie czas.

JOD

■ W 34 n-rze tygodnika „Za i przeciw" ukazała się notka pt. „Zamki do wynajęcia". Autorka (mach) pisze m. in. „Niedawno oglądałam w telewizji polskiej program poświęcony propagandzie mecenatu bogatych instytucji nad opuszczonymi ruinami zabytków architektury polskiej, byłych zamków, pałaców i dworków". Ciekawe, jakie też były te byłsze zamki, skoro drzewiej nikt się nimi nie zajął? (Nad. Henryk Radej z Turobina).

■ Makabrycznym opowiadaniem uraczył swych czytelników „Sztandar Ludu" (1—2 września b.r.). W „Zmartwieniu od samego rana" („Z teki Alfreda Hitchcocka") czytamy: „W jego plecach tkwił długi, kuchenny nóż. — Biedny zwariowany facet — mruknął Hopkins". A oto inny kwiatek z tej kryminalnej łączki: „Kompletnie ubrana Paulira Abgar siedziała na podłodze pod prysznicem. Na szyi miała jeden z krawatów Davnera Hopkinsa, którym ktoś ją po prostu udusił. Straszne, pomyślał Hopkins i odechciało mu się kąpieli". A następnie „Margaret zajęta konwencjonalnymi powitaniami sąsiadów, nie mogła mu pszeszkodzić w tym, aby spróbował jak smakuje mieszanka składająca się w 95 proc. z whisky i w 5 proc. z wody sodowej. To było wspaniałe". Wspaniałe? Pszerażające! (Nadesłał Jerzy K. Miesiec z Chełma Lub.).

■ W 17 n-rze „Kameny" mj wytyka w „Notach i notkach" dziwolągi „Światowida", ale sam też popełnia gafę: „Niejaki (js.) pisze o mieście Manifeście Lipcowego, czyli o Chełmie Lubelskim". Czy „Kamena" zwracając się do czytelników o współpracę w redagowaniu „Not i notek" chciała w ten sposób sama dostarczyć materiału do złośliwego komentarza? (Nadesłała „Beta", prosimy o podanie adresu celem przesłania honorarium).

■ „Gazeta Krakowska" (nr 159 A) informuje: „Rothevnan" Chrzanów triumfuje w IX Turnieju Drużyn Niezrzeszonych". Chrzanów? Chyba Khznanov. A swoją drogą dziwne, że w składzie Rothevnan gra tylu Polaków: (Skóra, Szatkowski, Podgórny, Oczkowski, Czekaj itd.)! (Nadesłał Jan Walichowski z Nowej Huty).

■ W „Chłopskiej Drodze" (nr 70) ukazał się wiersz pt. „Skarga na wilka" wyjęty z tomiku „Kwile paszkwile". Jako autor figuruje Mieczysław Knorr. Oj, nieładnie, panie Mieczysławie, dokonywać plagiatu! Nie usprawiedliwia pana nawet fakt(?), że Mirosława Knorr jest pana siostrą! A może skargę należy skierować pod innym adresem? Redaktor zawinił, wilka powiesili. (Nadesłał Antoni Oksytiuk z Zaświatycz pow. władawski).

■ Przeczytałem powieść Tadeusza Kosteckiego pt. „Kilka nocnych godzin". Autor pisze: „Niezmiernie powoli zaczął odciągać lufę... nacisnął cyngiel. Rozbłysnął krwistą czerwienią wydłużony język ognia" Pana Kosteckiego trzeba jak najszybciej powołać na ćwiczenia wojskowe: gdy się trochę przyuczy, może zmieni język i przestanie mu rozbłyskiwać krwista czerwień. A swoją drogą p. Kostecki chyba nigdy nie strzelał, albo nie odróżnia kolorów... (Nadesłał Jerzy Bojko z Katowic)

Wszystkim naszym czytelnikom, którzy odpowiedzieli na nasz apel w sprawie współredagowania „Not i notek", serdecznie dziękujemy. Rubryka nabrała rumieńców. Polecamy się na przyszłość, a za zamieszczone teksty honorarium wyślemy pocztą w początkach przyszłego miesiąca. Ponieważ, jak się okazało, nasza inicjatywa chwyciła, postanowiliśmy zmienić zasady honorowania. Tak więc zamiast płacenia drobnej sumy za poszczególną notatkę, będziemy wybierać jedną, naszym zdaniem najlepszą, i autora nagradzać kwotą 100 złotych. Komentarz do wycinka nie jest przy tym konieczny, choć do ostrzenia dowcipu zachęcamy. **(red).**

EKRAN I WIDZ

Ćmy wokół lampy

Z NIEMAŁYM zainteresowaniem czekano po „Hubalu" na następną polską premierę — „Zazdrości i medycyny" w reżyserii Janusza Majewskiego. Film wszedł na ekran kina „Kosmos" pod koniec września. O ile sukces Poręby poprzedziło kilka miernych raczej filmów, to nazwisko Majewskiego od lat kojarzy się z czołówką najciekawszych polskich reżyserów. Zaliczany do średniego pokolenia twórców (42 lata) Majewski już dziesięć lat temu dał znać o sobie dokumentalnym „Albumem Fleischera", filmem nagrodzonym w Krakowie, San Francisco i Mannheim. Związany początkowo głównie z filmem dokumentalnym zadebiutował w 1967 r. w „fabule" — interesującym „Sublokatorem", w którym główną rolę kreował znany w Lublinie i przez wiele lat związany z naszym miastem, Jan Machulski. Popularność zdobył sobie Majewski filmem „Lokis" (większość plenerów kręcona była w podlubelskiej, malowniczej Kozłówce), w którym oglądaliśmy szereg lubelskich aktorów, z popularnym „Dzidzią" — Witoldem Lisowskim na czele.

„Zazdrość i medycyna" powstała w oparciu o słynną książkę Michała Choromańskiego, pod tym samym tytułem. Jeden z bestsellerów wydawniczych polskiego dwudziestolecia międzywojennego, który przyniósł młodemu autorowi nagrodę Akademii Literatury oraz liczne sukcesy zagraniczne, został natychmiast zauważony przez amerykański przemysł filmowy. Wkrótce po ukazaniu się pierwszego wydania powieści (1932 r.), zainteresował się „Zazdrością i medycyną" reżyser amerykański polskiego pochodzenia, Ryszard Bolesławski. Niestety, wnikliwe „studium zazdrości" stworzone przez Choromańskiego, okazało się w scenariuszowej, hollywoodzkiej przeróbce tak straszną szmirą (oczywiście film miał się kończyć happy-endem!), że autor stanowczo sprzeciwił się realizacji filmu. Dopiero niedługo przed wybuchem wojny udało się Antoniemu Bohdziewiczowi skłonić pisarza do wyrażenia zgody na nakręcenie filmu w Polsce, w oparciu o scenariusz napisany przez Bohdziewicza. Wojna pokrzyżowała te plany, a Bohdziewicz, mimo że do końca życia nosił się z zamiarem nakręcenia „Zazdrości i medycyny", ostatecznie nigdy nie wyszedł poza wstępne stadium organizacji.

Scenariusz Janusza Majewskiego jest więc trzecim z kolei scenariuszem, doprowadzającym do finału zamysł, który miał początek czterdzieści lat temu.

W wersji filmowej powieść została znacznie skrócona. Na pierwszy plan wysuwa się wątek Rebeki (gra ją pamiętna z „Popiołu i diamentu" Ewa Krzyżewska) i prywatnego śledztwa prowadzonego przez jej męża, przemysłowca Widmara (Mariusz Dmochowski). Doktora Tamtena gra Andrzej Łapicki, a krawca Golda pisarz, Włodzimierz Boruński. *„Centralną postacią w tym filmie* — powiedział Majewski w wywiadzie dla „Magazynu Filmowego" — *jest niewątpliwie Rebeka: wokół niej, niczym wokół słońca, krążą mężczyźni, którzy pragną posiadać ją na własność. Nigdy nie panują nad nią, mimo że spędzają z nią miłosne noce. (...) Nie jest to kobieta fatalna. (...) określiłbym ją raczej jako kobietę żyjącą poza moralnością, nie uznającą żadnych zobowiązań, obowiązków, lojalności, wierności. (...) Manipuluje mężczyznami, zwodzi i oszukuje zarówno męża jak i kochanka, a oni niczym ćmy krążące wokół lampy — spalają się".*

Przy tym wszystkim podchodzi jednak Majewski do przewijającego się przez ekran romansu z delikatnym dystansem, z pewną melancholijną zadumą, z wykwintnym humorem. Widz znajdzie w „Zazdrości i medycynie" i melodramat i komedię i dramat psychologiczny i nawet — sensacyjny, a wszystko obejrzy z wielkim zainteresowaniem i z podziwem dla dobrego smaku i kultury reżysera.

(ma)

odpowiedzi redakcji

E. G. Radzyń Podlaski. Chciałoby się powiedzieć, że wiersze Pani dokumentując niewątpliwe świadectwo wzruszeń i dość wiernie przekazując stany psychiczne nie mają wystarczającego dokształtowania jako utwory poetyckie. Nie chodzi o „formę", ale nie wszystko, co się powie „z głębi siebie", nie wszystko, co jest „przeżyte", co jest nawet trafne — jest poezją. Np. „dlaczego nauczyliście ich wstydzić się życia"? Owszem jest w tym przemyślenie, filozofia, zaduma. Jednak jako poetycki zwrot brzmi to dość anemicznie. Ale uzasadnienia prosimy od nas nie wymagać. Musielibyśmy powiedzieć, co to jest poezja, a ten problem każdy piszący wiersze rozstrzyga dla siebie.

S. G. Janów Lubelski. Tak, ale to wszystko robi wrażenie małoformatowych obrazków. Utwór nie wynika z chęci do przekazania czegoś od autora, ale jest krótka migawką jakby pośpiesznie zrobioną w pogoni za umykającym zjawiskiem. Może to być z początku interesująca zabawa, ale wkrótce się Panu znudzi.

P. Z. Lubartów. Opowiadanie jednak wymaga szerszego tła realiów, niż Pan zawarł w swoim tekście. Poezja, liryka może być grą na jednej strunie, od prozy wymagamy charakteru „polifonicznego". Jeśli przesadą byłoby tu jeszcze określenie Stendhala, który powieść porównał do zwierciadła przechadzającego się drogą, to chcemy wiedzieć, jak autor odbiera i odmierza rzeczywistość, jakie ma kryteria oceny, czego pragnie, co postuluje itp. Od tego nie ma wykrętów. Talent jedynie umożliwia osiągnąć to „krótszą drogą".

B. R. Lublin. Proponowalibyśmy trochę więcej powściągliwości. Nadmierne eksponowanie własnej osoby jako jedynego przedmiotu godnego zainteresowania to cecha nader ujemna. I jest na to parę określeń, których tu nie przytoczymy. Dyskrecja jest wielką zaletą pisarską, jak szept bywa głośniejszy od krzyku. Radzimy zrezygnować z naciskania pedału, bo i tak w nienajlepszych momentach następuje to nagłośnienie.

W. P. Sandomierz. T. zw. „szczerość" jest dość zwodniczym kryterium literackim. Jak możemy sprawdzić, czy autor jest szczery? Poza tym istnieje coś takiego jak fikcja literacka i to jest właśnie najczęstszy rodzaj wypowiedzi. A przede wszystkim: utwór „szczery" może być kiepski, a „skłamany" — dobry. Gdyby literatura była wiernym opisywaniem rzeczywistości — co innego. Ceni się inwencję, spojrzenie, zasób propozycji bez względu na to, jakim sposobem zdobyte. A w końcu i one składają się na prawdę autora.

P. C. Jelenia Góra. Kiedyś te utwory mogłyby pretendować do całkiem przychylnego przyjęcia. Dziś zmieniła się akustyka dla tej tonacji i samo prolongowanie dawności choćby najzupełniej poprawnej nie wystarcza. Trudno. Tempora mutantur..., co już odkryto na różne sposoby przed naszą erą. Żeby te wiersze ożyły, trzeba przywrócić cały sztafaż szczegółów obyczajowych, sposobów myślenia, nawyków i mód, a to — na ich nieszczęście — nie jest możliwe.

W. G. Warszawa. Jeśli nie udawało się Panu z literacką prasą miejscową, chcielibyśmy być tymi, którzy przydali się do przestąpienia tzw. progu debiutu. Ale chyba przedwcześnie Pan stawia takie wymagania. Może by najpierw trochę popracować?

S. Z. Nałęczów. Jak widzi Pani, stosujemy się do życzenia, co nam zresztą nie przychodzi trudno, ponieważ jest to praktyka w ogóle przez nas i przez wszystkie redakcje stosowana. „Żeby znalazł się choć jeden czytelnik"... Więc przeczytaliśmy te utwory nie bez satysfakcji, a przypuszczamy, że w najbliższym kręgu Pani również znajdą się osoby, którym te strofy przyniosą trochę rozrywki, a trochę zadumy. Jest to poezja typu szlambuchowego, wymagająca swojego klimatu. Życzymy rychłego powrotu do zdrowia.

M. N. Lubartów. Owszem, chętnie publikujemy młodych autorów, nawet mamy w tym niełakie ambicje, ale zawsze zanim otrzymamy wyznania i deklaracje listowne wolimy mieć do czynienia z tekstem utworu, o co przecie w ostateczności chodzi. Najszczersze obietnice i najmocniejsze zapewnienia mogą być elementem życzliwej konwersacji, ale nie przedmiotem ewentualnej współpracy.

F. D. Nowy Targ. Pański wiersz o Czechowiczu wpada w najczęściej praktykowaną manierę pisania o poetach. Do swojego tekstu wplótł Pan tytuły utworów Czechowicza oraz jego niektóre metafory. W ten sposób miał Pan nadzieję zbliżyć się do obrazowania, języka i tonacji autora „nuty człowieczej". Niestety ten mechaniczny zabieg przyniósł odwrotny rezultat. Lepiej już wszystko powiedzieć od siebie, nie kawałkując wybitnego poety.

W. D. Stoczek Łukowski. — Humoreska mimo zdrobniałej i bagatelizującej nazwy jest rodzajem literackim trudnym i poważnym. W tej pozornie niewinnej formie ma być zawarta satyra na środowisko, ludzi, ba — świat. Ma więc wyraźny związek z filozofią. Prezentowanie w tekście humorystycznych (i to nie zawsze) scen bez tego dającego się wyczuć zaplecza światopoglądowego nie trafia w ducha gatunku.

Szyfrogram literacki (nr 20)

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy na miejsce liczb przenieść do diagramu odpowiadające im litery. Dla ułatwienia ostatnie litery pierwszych dziewięciu słów dają imię i nazwisko autora tekstu do odgadnięcia. Pojedyńcze czarne kratki są przerwami między wyrazami, a podwójne oznaczają koniec wiersza.

Wyrazy pomocnicze

21, 28, 46, 56, 5 — asysta.
24, 17, 12, 47, 54, 42 — złoże
88, 111, 11, 37, 48 — pachnące ziele
78, 91, 33, 49 — gęsto od ludzi
90, 18, 93, 19, 105, 73 — popularny owoc
34, 60, 64, 82, 13 — „O szalony, gdzie on goni"
26, 101, 107, 67, 97 — rzeźbiarz francuski (1840—1917)
112, 58, 65, 27 — góry w Ameryce
102, 25, 1, 35, 30 — strumień
18, 7, 110, 44, 81 — miasto powiatowe na Lubelszczyźnie
66, 86, 2, 43, 95, 77 — trzecia planeta układu słonecznego
8,96, 100, 105, 15, 94, 53, 68 — strawa
84, 70, 71, 83, 14, 55, 69 — powszechnie przyjęta forma zachowania
62, 80, 109, 74 — szybki krok
61, 103, 40, 39, 52, 63 — imię Dziewicy Orleańskiej
32, 98, 87, 22, 16 — dmucha w organy
9, 23, 51, 50, 57, 99 — korona z kwiatów
26, 38, 85, 20 — jechali po nie argonauci
104, 29, 4, 31, 72, 75 — oczy jej retoryka
6, 41, 45, 106, 79, 92 — krótki utwór prozą
76, 89, 59 — kierownik znanego chóru rewellersów w Polsce międzywojennej.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poc. 131, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązaniem szyfrogram z Nr 18 był fragment wiersza Tadeusza Hollendra: „Uśmiech Warszawy".

„Patrz, to jest dumne miasto Warszawa,
więcej niż tysiąc okropnych dni,
wlecze się sprawa, trudna i krwawa,
a ona walczy, a ona drwi".

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu Nr 18 bony książkowe w cenie 40 zł wylosowali: Zenon Gębala 21-040 Świdnik, pow. Lublin, Adampol, Julia Urs, 21-500 Biała Podlaska, Narutowicza 17, Kazimierz Świderski, 76-200 Słupsk, ul. Jaracza 31, Urszula Fal, 20-625 Lublin, ul. Leonarda 7 m. 90.

listy do kamery

KADRY W KULTURZE

Narzeka się często na słaby poziom zawodowy ludzi zatrudnionych w placówkach kulturalnych, szczególnie krytycznie oceniając sytuację w powiatowych domach kultury. Wśród źródeł takiego stanu rzeczy akcentuje się brak systemu kształcenia tej kadry. Jak wiadomo, w ostatnim czasie uruchomiono pewne formy wiadomej edukacji, lecz w gruncie rzeczy sprawa znajduje się w powijakach. Czy więc nie należałoby, w celu przyśpieszenia liczebnego rozwoju szczupłej dziś grupy wysokokwalifikowanych pracowników resortu kultury, skorzystać z odpowiednich doświadczeń węgierskich? Lublin od dawna współpracuje z Debreczynem i aż dziw bierze, że nie dostrzegł dotąd zakładu kształcenia pracowników kulturalno-oświatowych, istniejącego przy tamtejszym uniwersytecie już dziesięć lat! Podobny zakład działa również w uniwersytecie budapeszteńskim, lecz na tym nie koniec. Oto w kilku miastach kraju czynne są pomaturalne trzyletnie studia w zakresie kultury, które w ubiegłym roku miały zostać przekształcone w czteroletnie. Kultura, warto to przypominać na każdym kroku, przestała być dziedziną dla amatorów, jej rozwój zależy od ludzi mądrych i pojmujących mechanizmy nią rządzące. O działaczach starego tupu, co to z porywu serca (choć często także i z życiowych konieczności) krzewili kulturę w narodzie, zapominać nie wolno. Robili, co mogli, nierzadko zrobili dużo dobrego. Ale dziś inne czasy, instytucjonalizacja życia społecznego poszła tak daleko, a poszczególne jego agendy osiągnęły taki stopień specjalizacji, że powierzanie losów kultury w dłonie tzw. miłośników nie może przynieść oczekiwanych rezultatów. Owszem miłośnicy, jeśli się tacy znajdą, mogą być bardzo pomocni w realizacji polityki kulturalnej, np. jako działacze stowarzyszeń społeczno-kulturalnych. Wcielenie w życie deklaracji o traktowaniu kultury jako równorzędnej dziedziny życia społecznego powinno stać się faktem.

Jan Szczerbowski
Zamość

OGNISKA RÓŻNEGO SMAKU ?

Lubimy liczby, lecz jest to miłość ślepa, kryjąca właściwy wymiar rzeczy. Niby wiemy coś niecoś na ten temat, felietoniści kpią ze statystyki, a i w narodzie również niejeden dowcip na ten temat krąży, ale szermowanie cyfrą, jako ostatecznym argumentem, nie zanika. Oto przy pewnej okazji dowiedziałem się, że na Lubelszczyźnie działają 72 ogniska muzyczne, obsługujące 2900 dzieci, młodzieży i dorosłych. Więc powód do radości pierwszorzędny. Tymczasem wiem z własnego doświadczenia, że zdecydowana większość tych ognisk naucza: gry na instrumentach, co nie ulega wątpliwości, i konserwatywnych upodobań estetycznych. Rozumiem, że ognisko jest rodzajem przedszkola muzycznego i trudno wymagać przekazywania wychowankom zawiłości na miarę teorii Einsteina. Chodzi jednak, aby już na tym etapie kształcić u ludzi otwarty stosunek do kultury muzycznej, aby nie drwić z muzyki wybiegającej poza konwencje Moniuszkowych pieśni. A tak się niestety dzieje, szczególnie tam, gdzie nauczycielami są muzycy starszego pokolenia, dla których „Jesień Warszawska" kojarzy się z porą roku i w wczasami w mieście pod egidą przedsiębiorstwa „Gromada".

Z. B.
(nazwisko znane redakcji)

JESTEŚMY NA WCZASACH

Zachęcony publikacjami na temat wczasów, które ukazały się w „Kamenie", pragnę dorzucić swoje trzy grosze. Latem tego roku wybrałem się z rodziną na wczasy do Krynicy Morskiej, powierzając swoje losy spółdzielni turystycznej „Gromada" — aby było taniej. Zawiodłem się w tych planach haniebnie, lecz nie o to chodzi. Podczas pierwszego, organizacyjnego, spotkania z kierownictwem ośrodka wczasowego usłyszeliśmy, z ust oficjalnego opiekuna turnusu zdumiewającą prośbę. „Proszę państwa, czy ktoś z państwa nie ma znajomości w Gdańsku? Jeśli tak, to może załatwi lepsze przydziały żywności dla turnusu?!"

Pozostaję z szacunkiem, rezygnując z komentarza.

Henryk Król
Lublin

KONKURS LITERACKI DLA MŁODZIEŻY

Jak już informowaliśmy, przy Wojewódzkim Domu Kultury w Lublinie powstaje klub literacki dla młodzieży szkół średnich. W związku z tym WDK przy współpracy z Kuratorium Okręgu Szkolnego w Lublinie, Komendy Chorągwi ZHP, redakcji: „Nowego Wyrazu", „Poezji", „Kameny" i „Sztandaru Ludu" organizuje konkurs na cykl wierszy i krótki utwór prozą dla młodzieży szkół średnich z województwa lubelskiego. Konkurs jest zastrzeżony wyłącznie dla uczniów szkół średnich. Uczestniczący w konkursie powinni nadesłać w terminie do dnia 15 października 1973 roku (obowiązuje data stempla pocztowego) cykl pięciu wierszy lub utwór prozatorski nie przekraczający 10 stron maszynopisu. Teksty należy nadsyłać w opatrzonej godłem kopercie, do której powinna być dołączona druga koperta z nazwiskiem i miejscem zamieszkania autora, nazwą szkoły do której uczęszcza i klasą.

Nagrodzone i wyróżnione utwory zostaną opublikowane w oddzielnej plachcie poetyckiej i w prasie literackiej. W skład jury konkursu wejdą przedstawiciele zainteresowanych instytucji jak również pracownicy naukowi Instytutu Badań Literackich PAN.

Łączna kwota nagród — nagrody rzeczowe — wynosić będzie 5 000 złotych do podziału wg uznania jury. Sekretariat konkursu mieści się w Wojewódzkim Domu Kultury: 20-010 Lublin, ul. Podgrodzie 3, sekretariat.

Nr indeksu 36-400

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Bogan Madej, Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz Mirosław Derecki, Ireneusz J. Kamiński i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny i korektor — Irena Komosa.

Cena prenumeraty krajowej: rocznie 78 zł, półrocznie 39 zł, kwartalnie 19.50 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatur RSW „Prasa — Książka — Ruch". Pozostałe — mające siedzibę na wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatur, zamawiają prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumeratę na zagranicę przyjmuje: RSW „Prasa — Książka — Ruch" Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 23, 00-340, Warszawa, konto PKO 1-6-100024. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: RSW Prasa — Książka — Ruch Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4.

Numer łamali: Mieczysław Psujek i Danuta Kosiorek. Winiety — Andrzeja Byry.

Adres redakcji:
20-016 Lublin, ul. Narutowicza 35

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35.

Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

falsetem

3:0

TRENER Górski był dobrej myśli. „Gramy na zwycięstwo, to jasne — powiedział do przedstawiciela „Trybuny Robotniczej. — W ogóle: nie jestem zwolennikiem zakładania gry na remis czy obierania defensywnych wariantów. Niektórzy mówią: „Żeby wygrać, trzeba najpierw zremisować!" W tym tkwi już asekuranctwo, takie nastawienie odbiera graczom swobodę poczynań, zabija ich inicjatywę. Trzeba zawsze grać na atak, trzeba ryzykować."

A jednak, gdy oglądałem przez pierwszych kilkanaście minut mecz w Chorzowie, obawiałem się — co tu wiele ukrywać — że to nie Polska, ale Walia „gra na zwycięstwo". Po pół godzinie padła pierwsza bramka. Na szczęście — my byliśmy górą. Chyba najbardziej zdziwił się sam Gadocha, który usiadłszy z wrażenia na murawie skłonami demonstrował swoją radość. Ale wówczas los spotkania nie był jeszcze rozstrzygnięty, wszystko mogło się wydarzyć. W pełny sukces zacząłem wierzyć dopiero po 34 minucie, kiedy to Lato strzelił kolejnego gola. A wiara zamieniła się w pewność, gdy szwedzki sędzia usunął z boiska brodatego Hockey'a. Wprawdzie słyszałem złośliwą uwagę kolegi, że w ten sposób rehabilitował swych rodaków za potop i zwolnił naszych zawodników z obrony Częstochowy (czyli świątyni Tomaszewskiego — wpadam już w żargon dziennikarzy sportowych), ale puściłem ją (uwagę) mimo uszu. Tolerowanie ringowej atmosfery mogłoby doprowadzić do tego, że na stadionie w Wembley musielibyśmy wystawić zupełnie inną reprezentację. Na szczęście bylibyśmy w stanie to uczynić: w ostatnim sezonie reprezentacja rozegrała 19 spotkań: 12 meczów i 7 sparringów. Wypróbowaliśmy 36 zawodników, większość — ze skutkiem pozytywnym. Nieobecność w zespole Lubańskiego, chociaż wszyscy tego żałujemy, przestała działać deprymująco na pozostałych piłkarzy.

I teraz wszystko, to znaczy czy awansujemy (czy też nie) do grona finalistów mistrzostw świata, stanie się jasne 17 października. Wystarczy nam remis z Anglią, zdobędziemy wówczas pięć punktów, a Anglicy — cztery. Remis teoretycznie jest możliwy, ostatecznie na własnym boisku wygraliśmy z nimi, ale stawka meczu jest tak wielka dla obu drużyn, że o wyniku decydować będzie nie tyle strategia, kondycja fizyczna, co odporność psychiczna.

Czy możemy sobie pozwolić na ostrożny optymizm? Osobiście zachowuję powściągliwość, bo w swoim czasie byłem zbyt pewny zwycięstwa z Walią na terenie naszych przeciwników. Dostaliśmy małe lanie (2:0), teraz zrewanżowaliśmy się z nawiązką. Anglicy przegrali w Polsce również w tym samym stosunku, ale na stadionie w Wembley role mogą się odwrócić. Z kolei jednak Walii udało się z Anglią zremisować. Mamy być gorsi, skoro ową Walię tak pięknie pokonaliśmy?

Ba! Ale czy rzeczywiście tak pięknie? To była zupełnie inna drużyna niż w meczu z Anglią! Zapewne zaważyła stawka meczu, a także fakt, że dla Walijczyków sezon piłkarski dopiero się rozpoczął. Obie drużyny nie miały niczego do stracenia, a wszystko do zyskania. Na pozór można by sądzić, że aura — stale padający deszcz — działała na korzyść wyspiarzy, przypominała im miejscowe warunki. Ale przecież właśnie w strugach ulewy Polska zdobyła złoty medal na Olimpiadzie w Monachium!

Wracam jednak do pytania: czy rzeczywiście tak pięknie? Strzeliliśmy dwie bramki w 29 i 34 minucie, nie bez winy obrońców walijskich, ale w drugiej połowie meczu, gdy graliśmy jedenastką przeciwko dziesiątce, udało nam się tylko raz zmusić bramkarza gości do kapitulacji. Można twierdzić, że późniejsza trzybramkowa przewaga w pełni drużynę polską satysfakcjonowała, bo nawet gdyby udało nam się wygrać 1:0 mielibyśmy powód do zadowolenia, gdyż liczą się przecież punkty, a nie bramki.

Piłka jest okrągła. Pożyjemy, zobaczymy! Pamiętajmy jednak, że sędzia też człowiek... A przedtem zabawmy się wspólnie. Do 16 października czekamy na listy naszych czytelników: kto najwłaściwiej (ewent. i do przerwy) wytypuje wynik spotkania Anglia-Polska? Zwycięzcy naszego mini-konkursu sportowego przyznamy nagrodę. Jaką? To niespodzianka. Na pewno nie będzie nią bilet lotniczy do Wielkiej Brytanii i z powrotem oraz miejsce siedzące na stadionie w Wembley.

A my ze swej strony przekonamy się, w jakiej mierze czytelnicy „Kameny" interesują się sportem. Jeśli wielu — postaramy się, by o piłce nożnej (i nie tylko) pisywali na naszych łamach fachowcy, a nie tylko kibic.

MAJ

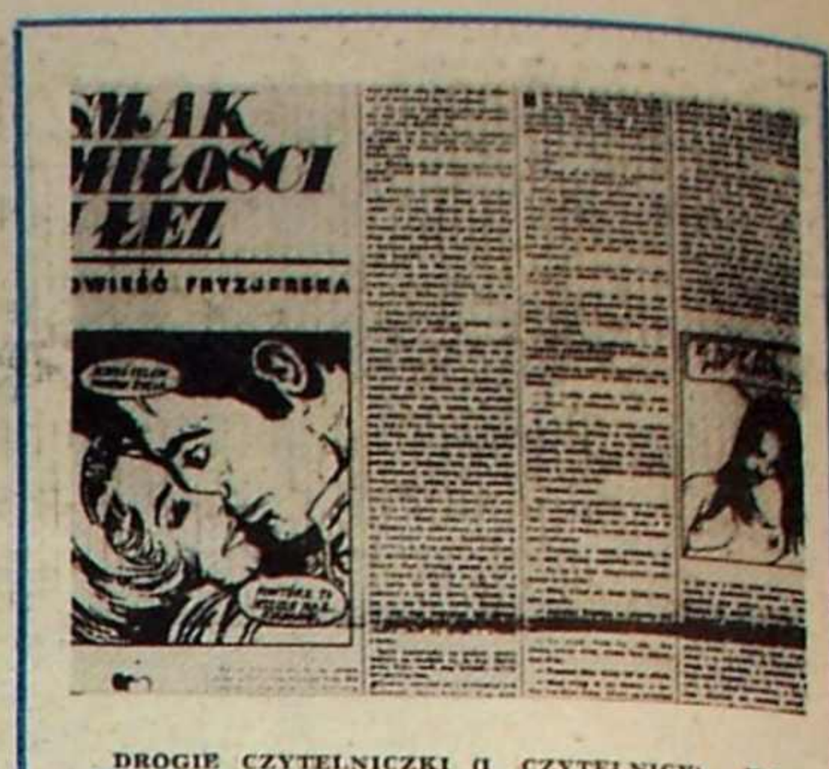

DROGIE CZYTELNICZKI (I CZYTELNICY) „KAMENY"! Stale otrzymujemy do Was listy, w których prosicie o zeszłoroczne numery naszego pisma, gdyż chcecie skompletować pierwszą część powieści pt. „Smak miłości i łez". Odmawiamy, gdyż ciągle mamy pewne trudności z własnymi archiwaliami. Ale teraz śpieszymy Was zawiadomić o pięknej niespodziance, jaką przygotowała redakcja warszawskiej „Literatury". Otóż pismo to w 39 n-rze rozpoczęło na całej stronie (!) druk naszego bestselleru i to w dodatku z ilustracjami. Co prawda istnieją pewne rozbieżności (minimalne zresztą) w tekście „Kameny" i „Literatury", ale dla całości pracy są one bez większego znaczenia. Cena „Literatury" — 3 złote. Do nabycia w każdym kiosku.

• • •

DROGA REDAKCJO „LITERATURY"! Powyższą reklamę Waszego pisma zamieszczamy zupełnie bezinteresownie. Już zapomnieliśmy o wiosennych sporach, o tym, co pisał kol. Wojciech Adamiecki w n-rze 5 z 1 lutego br.: „Gdy tak ślicznie sobie pogadujemy, na łamach „Kameny" robi furorę i zwiększa jej nakład „Smak miłości i łez". Redakcja drukuje tę powieść w odcinkach dla żartu, natomiast czytelnicy zapłakują się nad nią najpoważniej na świecie. Napisała ją przez przypadek pani Waleria Sulima, pracowniczka gminnej rady. Przez przypadek zaczytany zupełnie maszynopis trafił do redakcji. Czytelnicy zażądali od autorki pisania dalszego ciągu. Pisze. Odbiorcy są stęsknieni, „Tredowatą" znają już na pamięć. A my możemy sobie spokojnie pogadywać".

Dziwi nas jednak, że we wstępie, jaki poprzedził w „Literaturze" druk pierwszego odcinka „Smaku", ów cytat kol. Wojciecha Adamieckiego nie został wykorzystany. Bo jeśli stwierdziło się raz, że powieść tę „napisała przez przypadek pani Waleria Sulima" nie wypada teraz pozbawiać jej autorstwa i czynić oszczędności na wierszówce. Rysunki Andrzeja Dudzińskiego — to kolejny nietakt: miłość Niny i Mariusza była czysta jak łza. Jak można tą golizną bezcześcić najświętsze uczucia?

Przy okazji przepraszamy za Ijona. Czepia się obok jakichś tam drobiazgów. Na jego usprawiedliwienie należy nadmienić, że pisał ów tekst przed ukazaniem się kolejnego numeru „Literatury" i tylko z uwagi na trudności techniczne w jednym barszczu znalazły się dwa grzyby. Oba nie są jednak trujące.

DROGA REDAKCJO „LITERATURY"! Życzymy milionowego nakładu, dalszych sukcesów twórczych i własnej inicjatywy!

P.S. Adresem p. Walerii Sulimy chętnie służymy.

minuta myślenia

Colt pani Morgan

TYGODNIK „Literatura" ma w tytule określoną dziedzinę twórczości. Nawet kiedyś w wywiadach naczelny redaktor zapowiadał ścisłe przestrzeganie tego zakresu tematycznego, jako że ani „Życie Literackie" ani „Miesięcznik Literacki" wbrew tytułom pismami literackimi nie są. Po tej zapowiedzi nastąpiło w „Literaturze" jeszcze większe materii pomieszanie aniżeli w pozostałych dwu. Bo i o Marylin Monroe, i o życiu seksualnym Wellsa, i o gangsterach, i o Lublinie. O wszystkim, co rokuje jakąś możliwość „wystrzałową", jakby redakcja do tego stopnia cierpiała na brak czytelników, by nie pogardzić żadnym środkiem łatwiej sensacji. Szczytem jednak tej „mody" okazał się druk rozważań pani Elaine Morgan, „która przedstawia nowy, niezwykle śmiały pogląd na ewolucję człowieka".

Pani Morgan nie jest ani antropologiem ani archeologiem. Jest nauczycielką. To jej pozwala na niezwykłą śmiałość w stawianiu dwójek profesorom, przy czym miejsce rzeczowych dowodów zajmuje stylistyczny prztyczek. Pani Morgan wszystko wie lepiej, jakby dzieje człowieka opisywała z własnego doświadczenia.

Jest jeszcze pewna dziedzina, w której pani Morgan wykazuje „niezwykłą śmiałość". Jaka to dziedzina?

Przejdźmy do cytatów. Oto małpa -przedczłowiek pisze list do „niebiańskiego domu wysyłkowego": „Mięśnie marszczące brwi nadeszły w dobrym stanie i są zadowalające, ale mózg i penis są o 3 numery za małe". (Dodatkowa osobliwość w tym, że cały passus ma formę gramatyczną żeńską, o czym wyraźnie w następnym cytacie). „Przy tej okazji przekonałam się, że łaskotliwy kawałek mojej pochwy jest teraz w niewłaściwym miejscu. Może ma Pan nowy model?" Cały artykuł pani Morgan jest tak gęsto usiany owymi szczegółami męskiej i żeńskiej anatomii, że wydaje się, jakby wyłącznie dla nich został napisany.

Pani Morgan w równym stopniu co mistrzem bezceremonialności jest mistrzem logiki. Weźmy tylko niektóre na to przykłady. Pełne compendium przekroczyłoby rozmiary tego felietonu.

1. Pozycję pionową małpa nadmorska osiągnęła dzięki ucieczce w morze przed napaścią innych zwierząt. Warunki środowiskowe wpłynęły na zmiany organiczne. Ale kiedy pozycja pionowa utrwaliła się na stałe, nie wpłynęło to na rozmieszczenie mięśni podtrzymujących płód, które w dalszym ciągu pozostały zawieszone na kręgosłupie jak u czworonogów, nie zaś na łopatkach, jak byłoby naturalniej. Dlaczego pani Morgan tego nie tłumaczy tłumacząc wszystko?

2. „...mamy do czynienia z sygnałem, który atakuje wzrok albo przybiera formę gestu". Bo gest — jak wiemy — dla wzroku jest niewykrywalny.

3. „Dopóki popęd seksualny samca był dostatecznie silny i przejawiał się w sposób gwarantujący możliwości gwałtu, to okoliczność, że samica nie miała z tego żadnej przyjemności, nie wpływała na ewolucyjny proces". „Kiedy sytuacja biologiczna zaostrzyła się, a złośliwy los zmusił człekopodobnych do bytowania w otoczeniu samic pozbawionych zupełnie i na zawsze charakterystycznych cech okresu rui, to dziwić można się, że samiec w ogóle okazał wystarczającą dozę wytrwałości, żeby zapewnić kontynuację gatunku.". Przy bliższym zastanowieniu się dochodzimy do wniosku, że pani Morgan w ogóle nie ma poglądu na sprawę przez siebie poruszoną, dlatego często zapomina o tym, co mówi parę akapitów wcześniej. Ze słowa „dopóki" wynika, że początkowo samiec miał popęd, a samica nie miała przyjemności, ale później sytuacja się wyrównała i oba osobniki w jednakiej ochocie... itd. Tymczasem okazuje się, że ani jedno (popęd samca), ani drugie (doszłusowanie samicy) nie były potrzebne, ponieważ gwarantem zachowania gatunku była „wystarczająca doza" bliżej nieokreślonej i nie wiadomo z jakich źródeł wynikającej wytrwałości u samca, który z godnym uznania poświęceniem, a z myślą o całej masie pokoleń, czynił swoją powinność nie mając do tego ani podniety, ani nawet zachęty ze strony swej wychudzonej partnerki.

Oczywiście nie są to wszystkie dowolności, bezceremonialności i dezynwoltury pani Morgan, której już pierwszy odcinek o nadmorskiej małpie zamieszczony w „Literaturze" parę miesięcy temu wywołał takie same reakcje, ale wówczas wyglądało, że jest to przypadkowy kiks, obecnie zaś rysuje się — konsekwencja. Ciekawe jaki jest cel podobnych publikacji? Jeśli nawet nie zamierzałyby upraszczać, jeśli nawet byłyby przyczynkiem do nowego spojrzenia na kwestię ewolucji człowieka — po co zajmować tym miejsce właśnie w „Literaturze"?

Odegrała tu rolę chęć wystrzelenia fajerwerkiem, co już wchodzi w stałą praktykę tego tygodnika coraz bardziej zabiegającego o efekty rewolwerowe, o krótkoterminową, wyeksponowaną nadmiarem farby drukarskiej, sensację. Czy nie lepiej byłoby zmienić tytuł pisma? Przynajmniej zostałaby uratowana jego zgodność z treścią.

Ijon

WALERIA SULIMA

POSTE RESTANTE

SMAK MIŁOŚCI I ŁEZ

Tym czytelnikom „Kameny", których zyskujemy po zmianie formatu i szaty graficznej naszego pisma, musimy wyjaśnić, że powieść „Smak miłości i łez" drukowana jest na specjalnych zasadach w rubryce POSTE RESTANTE. Już sam tytuł mówi w czym rzecz. O streszczenie poprzednich 24 odcinków postaramy się w najbliższej przyszłości, tym bardziej że — o czym lojalnie ostrzegamy — nic nie wskazuje na to, by powieść ukazała się w edycji książkowej. „Smak miłości i łez" można więc tylko smakować w „Kamenie" i to w niewielkich dawkach. Nadmiar emocji bywa szkodliwy...

(25)

Mariusz zjawił się przed bramą prowadzącą do Ogrodu Saskiego punktualnie o siódmej wieczorem, tak jak umówił się z Barbarą. Dziewczyna już na niego czekała. Była blada, miała podkrążone oczy.

Usiedli na ławce w głębi parku. Oboje nie wiedzieli, od czego zacząć rozmowę. Mariusz zastanawiał się, czy powtórzyć ma to wszystko, o czym mówił Robert. Nie był zresztą pewny, czy Basia nie jest lepiej od niego wtajemniczona w sprawy związane z aresztowaniem jej ojca, pragnął więc, aby właśnie ona pierwsza napomknęła na ten temat.

Stało się po jego myśli.

— Mariuszu, jestem tak bardzo nieszczęśliwa. Wprost nie mogę uwierzyć w to wszystko! Ja się chyba zabiję, ja tak żyć nie potrafię. Wszyscy wokół będą mnie wytykać palcami.

— Masz jakieś nowe wiadomości?

— Tak, ale są one tak straszne, że aż boję się tobie ich powtórzyć. Kocham ciebie, bardzo ciebie kocham, ale chyba moja wielka miłość nie zdoła ciebie przy mnie zatrzymać.

Powiedziała to tak czule, że Mariusz poczuł jakby dreszcz przebiegający po jego ciele.

— Nie martw się — usiłował pocieszyć Basię i czuł, że cała złość gdzieś od niego odeszła — wszystko się jakoś ułoży. Musi się ułożyć.

— Mariuszu kochany, ty nic nie wiesz. W tej całej sprawie chodzi nie tylko o pieniądze. Matka mi wszystko powiedziała. Mój ojciec oskarżony jest...

— Cicho — przerwał jej Mariusz. — Cicho, kochana. Dobrze wiem, o co jest oskarżony twój ojciec. Ale to przecież nie było zabójstwo umyślne.

Barbara odsunęła się od niego gwałtownie. Zupełnie nie spodziewał się takiej reakcji: twarz jej zmieniła się, w oczach pojawiły się nienaturalne błyski.

— Ty byłeś na milicji! — zawołała. — A tak cię prosiłam... Odejdź ode mnie! Odejdź! Jesteś podły, podły. Niczego nie umiesz uszanować.

— Basiu, Basieńko, daj mi dokończyć...

— Nie, nie chcę, nie potrzebuję. Cały świat jest wstrętny, nie chcę żyć na takim świecie. Nie chcę — krzyczała i głos przeszedł w urywany szloch.

Mariusz wykorzystał tę chwilę i szybko, aby mu nie przerwała, zaczął opowiadać o tym wszystkim, co usłyszał od Roberta. Basia jakby uspokoiła się nieco.

— Więc nie byłeś na milicji?

— Nie.

— Przysięgnij!

— Basiu, po co to potrzebne? Przecież ten fakt niczego by nie zmienił.

— Widzisz, Mariuszu, kiedy rano do ciebie dzwoniłam, o niczym jeszcze nie wiedziałam. Dopiero później matka mi wszystko szczerze opowiedziała. Taka czuję się zawiedziona, taka sama...

— Masz przecież mnie!

— Teraz w to wierzę. Ale gdybyś poszedł na milicję odczułabym to jako policzek. Pokazałbyś w ten sposób, że liczą się dla ciebie tylko pieniądze, że one są ważniejsze w twoim życiu niż ja.

— Basiu, jak możesz tak twierdzić? A gdy mowa o pieniądzach, to wiesz, że nie martwiłbym się o nie, gdyby stanowiły one tylko moją własność. Ale nie mogłem przecież dysponować pieniędzmi Niny i to w tak lekkomyślny sposób.

— Przecież te pieniądze ci nie przepadną! Matka zwróci wszystko co do grosza. Obiecała mi to!

— Zmieńmy, Basiu, temat. Na razie niczego nie zmienimy. Ty masz w tej chwili daleko większe kłopoty.

Mariusz odprowadził Barbarę pod jej dom. Nie chciał wstępować do mieszkania, czuł, że wszystko musi jeszcze raz spokojnie przemyśleć. Powtórzył Basi właściwie wszystkie rewelacje Roberta, zataił jednak, że on był siódmym z kolei, który pożyczył jej ojcu pieniądze.

Wrócił do domu. Gospodyni powitała go na progu słowami:

— Dobrze, że pan jest. Ktoś czeka na pana!

(dcn.)